Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 8 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV · Łódź, 2 marca 1947 r. · Nr 9 (88)

Leonard Sobierajski

PRZED KONFERENCJĄ W MOSKWIE

Zbliża się termin konferencji pokojowej, na której będzie ostatecznie przedyskutowany, a następnie po wzajemnym uzgodnieniu podpisany traktat z Niemcami. Politycy europejscy, którzy zasiądą do konferencyjnego stołu, mają za sobą doświadczenie Wersalu z wszystkimi jego konsekwencjami, dlatego nie powtórzą się już chyba gesty pobłażliwości ani wielkoduszności wobec narodu, który cywilizację europejską tak zaciekle grzebał pod gruzami. Chyba, że ktoś chciałby z tej wielkoduszności wybijać monetę własnego interesu; tym razem cała ludzkość będzie pilnie śledziła protokóły dyplomatyczne, by nie wkradła się w ich ducha zamaskowana obłuda, która szermując hasłami humanitarnymi nie pozwoli na wyrwanie pazurów zwierzęciu, wiedząc, że zwierzę z nich zawsze chętnie będzie korzystało. Nie potrzeba tu przypominać, że kwestia uregulowania przyszłości Niemiec jest jaknajściślej związana z naszym bytem narodowym, całe polskie społeczeństwo zdaje sobie sprawę z tego. Dlatego nie będzie nas stać na beznamiętne śledzenie rozgrywek polityków alianckich, cały naród będzie obecny na konferencji w Moskwie, będzie uczestniczył w niej sercem, nerwami i mózgiem, gdyż wchodzi w grę jego przyszłość, spokój i bezpieczeństwo.

Każdy Polak ma jakby obowiązek uprzytomnić sobie w tym momencie te wszystkie racje, których konsekwentnym wnioskiem będzie twierdzenie, że Niemców należy tak potraktować, by Europę przed nimi zabezpieczyć przynajmniej na dobre kilkadziesiąt lat.

Dla rozsądnego człowieka jest jasne, że Niemcy same z siebie nie wyrzekną się marzeń o jakimś możliwym w przyszłości odwecie; nie są narodem, który uznałby swoją ludzką winę, tym bardziej nie przyjmą kary za słuszną. Pragnienie walki, to jest niemiecki kompleks z którego trudno będzie jakimikolwiek zabiegami pedagogicznymi wyleczyć ten naród, przeżarty do szpiku pasją władania nad innymi. Dlatego jedynym rozwiązaniem, będzie postawić ich w takiej sytuacji, w której automatycznie będzie wykluczona wszelka możliwość wystąpienia państwa niemieckiego w roli napastnika. Nie potrzeba dodawać, że taki zabieg profilaktyczny wyjdzie w końcowym bilansie historycznym na korzyść i samemu pacjentowi — narodowi niemieckiemu.

Rozejrzyjmy się, jakie drogi prowadzą do tej pożądanej przez wszystkich sytuacji, która Niemców skazywałaby na „wieczystą nieagresję".

Otóż nie ulega wątpliwości, że w żadnym wypadku nie oprą się oni na przyszłość pokusie zaczepki, gdy wokół siebie będą mieli nadal słabszych od siebie partnerów. A więc utrzymać naród niemiecki w stanie pokoju to tyle, co zatrzeć dysporporcje, jakie istnieją między nim o jego sąsiadami. Dysproporcje te szczególnie ostro występowały w wypadku Polski. Stąd wniosek: wzmocnienie państwa polskiego winno być podstawowym zagadnieniem wszelkich roztrząsań pokojowych. Wzmocnienie to może nastąpić przede wszystkim kosztem Niemiec. Można jednak i należy na to patrzeć jako na transfuzję wyrównawczą.

Polska i Niemcy stanowiły w okresie międzywojennym dwa organizmy państwowe jaskrawo różniące się swoimi potencjałami gospodarczymi. Wobec pełnokrwistego ekonomicznie „sąsiada zachodniego", my byliśmy całkiem anemiczni. Wynikało to między innymi stąd, że za czasów zaborów oddawaliśmy własną krew gospodarczą na rzecz obcego organizmu, gdyż państwo niemieckie włączyło nasze tereny w swoją strukturę gospodarczą pod kątem własnych korzyści. Niemiecki przemysł, który rozwinął się na wschodnich terenach Rzeszy zawdzięczał swój rozkwit przede wszystkim oparciu się o rynek „zaboru pruskiego". Z chwilą utraty tego rynku po 1918 roku przemysł ten popada w stan cofania się. Widać stąd, że rozrost jego ściśle wiązał się z ziemiami polskimi. Włączenie więc tego przemysłu w obręb państwa polskiego jest z punktu racjonalnej gospodarki światowej, celowe i konieczne. W strukturze gospodarczej naszego kraju jest on na swoim miejscu. Gdy Polska zażądała przesunięcia naszych granic zachodnich po Odrę i Nysę, kierowała się kilku względami. Wysunęliśmy wówczas argumenty natury historycznej, gospodarczej, strategicznej. W wypadku wyżej omówionym otrzymałby swoje rozwiązanie problem gospodarczy. Państwa alianckie wyraziły swoją zgodę na przyznanie nam Ziem Zachodnich, uznając tym samym konieczność przetoczenia do naszego organizmu państwowego brakującej krwi gospodarczej. Wydawałoby się na pozór, że jest to już dostateczne wyrównanie Dla Polski Ziemie Odzyskane są zastrzykiem nielada, podkreślane jednak różnice potencjałów gospodarczych obu państw wyrównują tylko w bardzo małym stopniu. Niemcy chcą dziś wmówić w świat, że utrata ich terytoriów wschodnich na rzecz Polski jest amputacją nie do przetrzymania. Tymczasem liczby dowodzą nam, że są to sugestie bezpodstawne. Gdyby ubytki Niemiec sprowadzały się do tego, co zapisanoby z ich dóbr na rachunek Polski, to nadal pozostałyby gospodarczo o wiele silniejszym od nas partnerem. A dla nas kwestią bytu i jakiejś względnej równowagi z tym groźnym sąsiadem byłoby to, aby potencjał gospodarczy Polski zbliżył się w niedalekiej przyszłości do niemieckiego. Dzięki Ziemiom Odzyskanym zdobywamy tu tylko konieczny punkt wyjściowy. Jest to warunek „sine qua non" dla naszej państwowej egzystencji, który nie stwarza nam jeszcze równorzędnej z Niemcami pozycji, co najwyżej poprawia przedwojenną. Dla zilustrowania tego przytoczę kilka cyfr.

Rozpocznijmy od węgla, który dziś jest naszym najcenniejszym artykułem wywozowym. Przed wojną wydobywaliśmy rocznie 36 mil. ton — Niemcy około 185 mil. ton, pięciokrotnie więcej. Obecnie utraciły one na rzecz Polski zaledwie 16% swojego stanu sprzed 1939 roku, co daje około 30 milionów ton. O tę samą sumę (teoretycznie) zwiększa się nasze wydobycie. Wskaźniki obecnie wyglądałyby tak: Polska 66 milionów ton — Niemcy 155 milionów ton. Gdyby więc Zagłębie Ruhry i Nadrenia miały na przyszłość pozostać w ramach gospodarki niemieckiej, to niemiecki wskaźnik węglowy byłby jeszcze o 2,3 większy od naszego. Bardziej zastanawiająco wygląda jeszcze wskaźnik ogólnego uprzemysłowienia. Otóż cały aparat przemysłowy, jaki Niemcy pozostawiły na „Ziemiach Odzyskanych" stanowi tylko 7% ich ogólnego aparatu przemysłowego. Cząstka przypadająca Polsce jest żałośnie mała wobec tego co pozostaje przy Niemcach. Przez włączenie do Polski Ziem Odzyskanych dysproporcje gospodarcze się nie zatarły, uległy tylko zmniejszeniu. Na naszą korzyść należałoby zaliczyć to, że poważny procent przemysłu niemieckiego w postaci urządzeń i maszyn zostanie z Niemiec wywieziony z tytułu odszkodowań wojennych. W każdym razie nawet wtedy jeszcze gospodarczo nie będziemy wyrównani. Trzeba by nam dużego kapitału inwestycyjnego, dzięki któremu moglibyśmy w pełni wykorzystać to wszystko, co posiadamy. Posiadanie tego kapitału już w tej chwili dałoby nam szanse lepszego i szybszego startu gospodarczego z baz dzisiaj zajmowanych. O ile patrzymy w dalszym ciągu na sprawę z punktu uczynienia Niemiec „miłośnikami pokoju" przez wzmocnienie ich sąsiadów, to należałoby stwierdzić, że Polska ma prawo oczekiwać pomocy finansowej od państw alianckich, gdyż ta pomoc dopiero pozwoliłaby skuteczniej rozbudować naszą gospodarkę tak, by dała ona nam siłę równą sile przyszłego państwa niemieckiego. A to jest właśnie ta sytuacja, w której Niemcy nie odważą się na wystąpienie w roli agresora. Stąd przyszła konferencja pokojowa prócz prawnego wyroku na Niemcy powinna dać pełne zadośćuczynienie Polsce — polityczne i gospodarcze.

Ziemie Odzyskane będą przedmiotem obrad konferencyjnych. Na podstawie konferencji poczdamskiej uchwalono formułę o polskim „administrowaniu" tymi ziemiami, pozwalając rozumieć słowo „administrowanie" jako posiadanie. Przyszły traktat ma nadać moc prawną faktycznemu już posiadaniu tych ziem przez Polskę Jest rzeczą prawdopodobną, że Niemcy będą próbowały obrony (w przewodzie traktatowym) same, bądź przez swoich sympatyków. Wytoczą tu argumenty, które dadzą się ująć w dwóch punktach. Przez utratę swoich terytoriów na rzecz Polski tracą silny ośrodek przemysłowy, co jest niezastąpionym brakiem w ich przyszłej strukturze gospodarczej; argument drugi, którym chcieliby wybronić te ziemie, to skarga, że pozbawia ich się bazy aprowizacyjnej. Co do pierwszego punktu, to po przyjrzeniu się cyfrom widać, że nie mają racji, ponieważ uprzemysłowienie utraconych obszarów stanowi tylko 7% ogólnego uprzemysłowienia Niemiec, także samo i dochód narodowy wynosił zaledwie 9% ich globalnego dochodu. W oświetleniu choćby tylko tych liczb widzi się, że straty w gospodarce niemieckiej na naszą rzecz tak wiele ich znów nie kosztują.

Nieodparty na pierwszy rzut oka wydaje się argument dotyczący aprowizacji, gdyż Niemcy z terenów utraconych ciągnęli 24% żywności. Ten ubytek mogą jednak wyrównać przez skrzętne wykorzystania swoich nieużytków, które sięgają przeszło 500.000 ha, oraz przez zniesienie wielkiej własności ziemskiej, co podniosłoby znakomicie dochodowość ich gospodarki rolnej. Sytuacja żywnościowa, w jakiej obecnie się znajdują, zmusi ich do zmian ustrojowych, ponieważ stanie się dla Niemiec rzeczą konieczną przeprowadzenie reformy rolnej. Dla spokoju Europy będzie to zysk kolosalny, ponieważ zostanie wówczas zlikwidowane junkierstwo niemieckie, które najsilniej podtrzymywało tradycje militarystyczne. Spójrzmy jeszcze na sprawę wyżywienia Niemiec od innej strony. Wiadomo jest, że były one krajem wysokiej kultury rolnej, że miały świetnie rozwiniętą hodowlę. Dzięki temu ich spożycie na głowę takich artykułów jak tłuszcz, cukier, namiastki było kilkakrotnie większe od spożycia w Polsce, więc dziś, gdy to spożycie zmniejszy się o 24%, to nadal będzie ono grubo wyższe jeszcze niż u nas, więc i na tym odcinku nie spotka ich większa krzywda. Tak więc i z punktu ludzkiego spojrzenia na sprawę nie jest do obalenia nasze prawo do Ziem Odzyskanych.

Pozostaje jeszcze kwestia druga, czy będziemy mogli wobec świata zagwarantować, że nie zmarnujemy tych dóbr, które dostały się nam do ręki. Otóż to, co dotychczas dokonaliśmy na Ziemiach Odzyskanych, mówi samo za siebie. Żyje na nich obecnie przeszło cztery i pół miliona Polaków, podstawowe gałęzie przemysłu są uruchomione, produkcja mimo zniszczeń wojennych sięga już 50% produkcji niemieckiej sprzed 1939 roku. Państwo Polskie daje pełne świadectwo, że potrafi na nowych terenach gospodarzyć wcale nie gorzej od ich poprzednich właścicieli To jest nasz bilans, z którym przedstawiciele Polski mogą spokojnie stanąć na konferencji w Moskwie. My od siebie zrobiliśmy wszystko, co jest zależne od ludzkiej energii, mózgu i dobrej woli. Moglibyśmy zrobić daleko więcej, gdyby niektóre z państw alianckich miast nieufności udzieliły nam życzliwej pomocy, na którą Polska zasłużyła sobie chyba jako najlojalniejszy sojusznik i zasługuje nadal jako gwarant bezpieczeństwa Europy.

Czegóż jeszcze możemy się spodziewać po Konferencji w Moskwie prócz pozytywnego załatwienia sprawy Ziem Odzyskanych. Otóż my od siebie musimy domagać się rozciągnięcia nad Niemcami surowej kontroli wojskowej. Instrumentem wykonawczym tej kontroli byłaby tu siła zbrojna O. N. Z. Należałoby dla niej stworzyć cały szereg baz w bliskim sąsiedztwie Niemiec, by stam-

(dokończenie na str. 2-ej)

Józef Bieniek

ZZA KULIS ZIELONEJ MELPOMENY

Tocząca się na łamach „Wsi“ w roku ubiegłym dyskusja na temat teatru ludowego wniosła niewątpliwie w to tak ważne dla wsi zagadnienie wiele cennych momentów. Gdy spojrzeć jednak na te sprawy od dołu, z terenów kulturalnie niemal że pustynnych, wydaje się, że głosy i tezy dyskutantów zawieszone są w próżni, że błądzą w strefie abstrakcji, zdala od powszechnej rzeczywistości, przypominając owo przysłowiowe dzwonienie w kościele, który się dopiero budować zaczyna.

Nieszczęściem życia polskiego było i jest — to, że budowę pewnych jego odcinków zaczyna się od gałki na wieży, zapomninając o fundamentach i ścianach. Bo przecież, zgodzimy się z tym wszyscy, że teatr ludowy fundamentów nie miał i nie ma. Były próby i osiągnięcia wspaniałe, choć wąskie skalą zasięgu, dzieło takiego geniuszu sceny chłopskiej jak Cierniak. Ale to fragment zaledwie wobec całości zagadnienia i za fundamentalny w sensie upowszechnienia uchodzić nie może. Tymbardziej, że postać żarliwego poszukiwacza dróg i wyrazu dla chłopskiej kultury scenicznej zgasła w podmuchu wojny. A kiedy brakło wodza, rozpoczęte przezeń dzieło obliczone na daleką metę, utknęło na skraju drogi. Nowy widz-geniusz, apostoł płonący entuzjastycznym umiłowaniem przedmiotu, nie zjawia się, a młody sztab znawców problemu, elita mająca kontynuować dzieło mistrza, kłóci się w wyborze dróg, lub odeszła ku bardziej intrantnym zajęciom.

A wieś czeka! Czeka, bo nie ma jeszcze na tyle dojrzałej siły własnej, by sama podołała rozwiązać stojący przed nią problem chłopskiego teatru i chłopskiej sztuki teatralnej. Trzeba jej więc pomóc!

Do spraw teatru ludowego (w sensie wiejskim) podejść należy trzeźwo i prymitywnie, od zasadniczych elementów poczynając, według poziomu, na jakim się znajduje i objawia najczęściej i najpowszechniej.

KŁOPOTY ZE SCENĄ

Wyodrębnić w nim wypadnie trzy podstawowe elementy: scena, reżyser, repertuar.

Z trzech bolączek pierwsza jest najcięższą do rozwikłania, gdyż wiąże się z odpowiednim pomieszczeniem — czy to będzie dom ludowy, Chłopski Dom Kultury, Oświaty czy Sztuki, czy wogóle jakaś sala, dla celów teatru przeznaczona. Takich pomieszczeń, domów, sal narazie nie ma, względnie jest bardzo niewiele. Nic też nie zapowiada, by w najbliższej przyszłości nastąpić miały większe zmiany na lepsze. Wpierw przecież odbudować trzeba zrąbane toporem wojny osiedla i pozagajać rany okupacyjno-frontowej gospodarki.

Jak ciężka jest sytuacja z pomieszczeniem dla tatrów ludowych, niech świadczy fakt, że na terenie mojego powiatu, na 170 gromad istnieje około 15 domów ludowych, w tym kilka zajętych przez spółdzielnie. Scen stałych mamy zaledwie sześć. W powiatach sąsiednich nie jest wiele lepiej, a bywa i gorzej.

JEDEN Z LICZNYCH PRZYKŁADÓW...

Cóż więc z tego, że tu i tam, rzadko zresztą, zagrają zespoły chłopskie dobrą, dobrze opracowaną i nawet przez siebie stworzoną sztukę, kiedy w tysiącach wiosek życie kulturalne — świetlica, teatr, czytelnia nie istnieją wcale, lub wegetują, a najczęściej właśnie z braku lokalu. Nieskończona ilość zespołów istniejących mimo wszystko, chcąc coś zagrać musi korzystać z klas szkolnych. A klasy, jak klasy — przeładowane nauką, małe i ciasne nadają się na wszystko z wyjątkiem teatru. Na upartego zagra i tam. Oczywiście. Sam grałem nie raz i nie dwa — więc wiem. A wygląda to mniej więcej tak: gdy sztuka wykuta już na blachę — w sobotę, po nauce, znosi się z całej wsi deski, osłony z wozów, kobylice i przystępuje do budowy sceny. Z braku miejsca musi ona posiadać formę kiszki; jest wąska, długa i arcyniewygodna. Ma też wszelkie cechy żywej istoty — czyli, że trzeszczy przy każdym kroku aktora, skrzypi i piszczy niby kot, któremu zdeptano ogon, a chwieje się niczem kura po wysuszeniu pół litrówki. Jaka ta scena jest, to jest, grunt, że jest. Dekoracyj za to nie ma, kulisów też, kostiumów także. Kurtyna ze starych płacht, prześcieradeł, lub koców. Wolna okolica z dwóch świerków, nad którymi bieleje niebo sufitu, a na nim pajęczyny świetnie imitują subtelne zachmurzenie. Izdebka chłopska — to dwa krzesła lub ławka i stół, pokój „pański“ tak samo, plus obrazek, komnata królewska identycznie, plus dwa obrazki.

Między sceną a widownią nie ma prawie żadnego dystansu — no bo ciasno. Widzowie omal że nosami nie dotykają nóg aktorów, przy czym „dowcipniejsi“ pozwalają sobie na różne uwagi w rodzaju: Mańka, bo ci majtki lecą — co oczywiście odpowiednio usposabia grających i tak już niemało zdenerwowanych i stremowanych.

A na scenie?

Przede wszystkim gra się sztuki o najmniejszej ilości ról, gdyż szczupłość miejsca na inne nie pozwala. Kiepska lub żadna reżyseria, brak charakteryzacji i kostiumów czynią z Nieboskiej Komedii — nieludzką necę i powodują ową osławioną, specyficzną, buszmeńską reakcję, widza chłopa, który mimo nieobeznania teatralnego poznaje się na „dziadowaniu“, patrzy na scenę z litościwą ironią, bez przekonania, nie dając wiary ani uczuć dziejącym się przed nim sprawom. Jakże jednak może inaczej, kiedy najwyraźniej widzi że 70-cio-letnia hrabina to poprostu młodziutka Marysia od kowalki, a siwowłosy i zgrzybiały hrabia, to również nie starszy - pełen temperamentu Franek sołtysiak. W dodatku obydwoje ubrani tak jak do południa byli w kościele. Dla ścisłości dodać należy, że hrabia Franek za całą starość ma bokobrody wyrysowane węglem i lniane wąsy — przy czarnej czuprynie — które jak na złość w najpoważniejszych i najtragiczniejszych momentach sztuki okazują wyraźne skłonności do repatriacji, a wreszcie spadają na scenę, powodując huragan śmiechu. Publiczność bawi się długo, głośno i znakomicie. Ale cały moralny, artystyczny czy dydaktyczny sens i efekt diabli biorą.

REŻYSER NA WSI

O ile funkcja reżysera jest tak nieodzowna i decydująca w teatrze inteligenckim przy najwyższym nawet poziomie zespołu aktorskiego — to tym ważniejsza jest ona w teatrze ludowym, przy zespołach amatorskich złożonych z materiału surowego, nieobeznanego z najelementarniejszymi zasadami gry scenicznej, paraliżowanego na dodatek tremą, fałszywymi ambicjami i dziewczęcym wstydem. W takich warunkach i stosunkach praca reżysera to jedno pasmo trudu i udręki, za które przecież poza moralną satysfakcją, gdy sztuka odniesie sukces, nikt niczym nie zapłaci. Tym też ważniejsza i odpowiedzialniejsza jest jego rola i misja, tym bardziej konieczną i pilną staje się sprawa szkolenia licznych kadr fachowych, znawców reżyserii, charakteryzacji, kostiumologii i gry scenicznej.

Ale tej sprawy nie da się załatwić do dzisiejszymi metodami dorywczych, parudniowych kursów w ramach tej czy innej organizacji. To trzeba robić planowo, systematycznie i na dłuższą metę.

SZKOŁA TEATRU LUDOWEGO

W niedalekiej przyszłości winna zaistnieć państwowa szkoła teatru ludowego, w której kształciłyby się w pierwszym rzędzie szeregi reżyserów — jako budowniczych i kierowników zielonej Melpomeny. Ludzie tacy, włączeni w sektor administracyjno-samorządowy, względnie działający w oparciu o wielkie organizacje chłopskie, pełniliby funkcje instruktorów teatralnych na szczeblach powiatu, gminy czy rejonu. Zadaniem ich byłoby organizowanie teatralnych zespołów amatorskich lub stałych, przeprowadzenie kursów reżyserii, charakteryzacji, kostiumologii i gry scenicznej, troska o właściwy dobór repertuaru, opieka i pomoc fachowa przy opracowywaniu i wystawianiu imprez teatralnych, a także montowanie regionalnych grup i widowisk, celem zebrania i przekazania stroju, obyczaju i kultury danego terenu innym regionom kraju, oraz miastom i osiedlom robotniczym.

Rzecz jasna, że o powodzeniu takiej akcji decydowałby odpowiedni dobór ludzi. Taki instruktor nie może być tępym kołem w biurokratycznym płocie, ani bezduszną machiną robiącą kulturę teatralną za biurkiem, na papierku, wykonywując rozkazy góry, na ślepo, bez przemyślenia. Musi to być człowiek o nieprzeciętnej inteligencji, ruchliwy, pełen inwencji twórczej, prawego charakteru, entuzjasta teatru, dobry znawca psychiki i mentalności chłopa, oraz obyczajów i historii swego regionu.

A propos problemu reżyserskiego nie bez dodatnich konsekwencyj byłoby włączenie w program szkół i seminariów nauczycielskich większej ilości godzin poświęconych najważniejszym zagadnieniom z dziedziny reżyserii, charakteryzacji itp. Zaś dla poprawy sytuacji na całym froncie teatru ludowego trzebaby koniecznie śpiące przy starostwach Referaty Kultury i Sztuki obudzić potężnym zastrzykiem jakiejś wybitnie podniecającej drapicyliny, by przestały politykować w wąskich ramach takiej czy innej partii, a wzięły się na serio do spraw, jakie im Obywatelka Demokracja włożyła na barki.

KŁOPOTY REPORTAŻOWE

Sprawy repertuaru dla teatru ludowego jakkolwiek nie stoją lepiej do tamtych dwóch, są przecież o wiele od nich mniej piekące. Mimo wszystko dobry reżyser w gromadzie istniejących sztuk zawsze jeszcze coś wyszuka. Gdy braknie sztuki, wyinscenizuje wątek powieściowy, legendę, wiersz, piosenkę i zawsze swoje osiągnie.

Inna rzecz, że olbrzymia większość do dzisiejszych względnie przedwojennych sztuk „dla ludu“, to stek przeraźliwie idiotycznych bzdurstw i nonsensów. Nic zresztą dziwnego. Nie pisali ich chłopi, ale miejscy inteligenci, znający wieś z obrazka lub wakacyjnych wycieczek, uważając chłopa za dziwnie uproszczony stwór, podobny czasem do anioła, częściej do diabła, raz do osła, to znów do cielęcia — rzadko kiedy do człowieka.

Zagadnienia te przedstawiają się tym tragiczniej, że rzadko która z sztuk repertuaru inteligenckiego i klasycznego nadaje się na wiejską scenę, choćby nawet i taka z prawdziwego zdarzenia. Operują one przecież nie tyle akcją, ile problemem, pikanterią sytuacyj, dwuznacznikami, zręcznymi pointami, grą słów, złośliwostkami, à la Shaw i tym wszystkim co dostępne jest tylko umysłom wykształconym.

Teatr ludowy to przede wszystkim akcja — widowisko, życie, ruch, wypadki i zdarzenia oplecione dialektyką prostą, jasną, zwartą i dydaktyczną. Tak [illegible] teatr ludowy — w przeciwieństwie do miejskiego okolicznego w pierwszym rzędzie na przeżycia duchowe i rozrywkę — musi przede wszystkim uczyć i wychowywać. Jak literatura, organizacja i szkoła musi i on wejść w zespół aktywnych sił chłopskich pracujących na froncie Wielkiej Przemiany — ukazując drogi ku niej wiodące.

Nięszczęście w tym, że sztuk, któreby teatr ludowy na te drogi wprowadziły jeszcze nie ma. Ale to nic — one będą. **Muszą być!** Napiszą je chłopi sami, chłopscy pisarze. Ci co już są i ci, co jutro przyjdą. Tu jedna uwaga: wieś nie chce łatwej propagandy.

Mówię to na podstawie własnego doświadczenia. Oto wiosną roku ubiegłego sprowadziłem z Łodzi kilka egzemplarzy sztuki pt. „Rozszumiały się wierzby“. Rozchwycono je w mig — rzeczy tych brak, a zresztą uwiódł kupujących tytuł szumiący echami partyzantki. I tej właśnie sztuki nie zagrano nigdzie. Dla jej — jak mi powiedziano — „sanacyjnej konstrukcji“ polegającej na gloryfikowaniu pewnych niepopularnych jeszcze na wsi postaci i owych osławionych już. Wiwat! Niech żyje! Hurra! Takie rzeczy, jeśli konieczne, dawkować trzeba ostrożnie i powolutku— jak rycynus.

PROJEKT TEATRU OBJAZDOWEGO

Biorąc wszystkie mankamenty wiejskiej Melponeny pod uwagę, uwzględniając ich powszechność oraz brak perspektyw na ich rychłą likwidację, wydaje się, że najwłaściwsza droga wyjścia z impasu, na szlak realnej i planowej rozbudowy teatru ludowego byłoby stworzenie zespołów objazdowych. Zespoły takie rozmieszczone w 2—3 punktach powiatu, mając pewne wyrobienie sceniczne, fachowe kierownictwo, dobry i dobrze opracowany repertuar, objeżdżając teren dawałyby niejako lekcje poglądowe, jakim być powinien teatr, ucząc widza patrzeć, pojmować i wartościować zjawiska sceniczne, zaś aktora - amatora należytej postawy scenicznej i właściwego stosunku do odtwarzanych postaci

Ze względu zaś na brak scen i sal, należałoby także opracować widowiskami nadającymi się do wystawiania na wolnym powietrzu. Byłby to dopiero pierwszy i zasadniczy krok do upowszechnienia teatru, o którym się tyle mówi i pisze.

I jeszcze jedno. Sprawa pomieszczeń dla teatru ludowego tak tragiczna i odległa w centralnej Polsce, na całym obszarze Ziem Odzyskanych nie pozostawia prawie żadnych trudności. Tu bowiem, nicomal w każdej wiosce i osiedlu, jest dom z dużą salą, nierzadko ze sceną. Nie ma tylko komu ożywić go i zapełnić treścią.

PRZED KONFERENCJĄ W MOSKWIE

(dokończenie ze str. 1-ej)

tąd mogły czuwać nad tym, aby Niemcy uczciwie dotrzymywały klauzul traktatowych, bądź aby w przyszłości nie rzuciły się na któregoś ze swoich sąsiadów. Silni sąsiedzi Niemiec, a prócz tego formacje wojskowe O. N. Z. oto czynniki, które mogą wprowadzić Niemcy w grono „narodów miłujących pokój“. Nie należy się tu odwoływać do dobrej woli pokonango narodu, bo dotychczas w historii jej nie wykazał i wszystko przemawia za tym, że nie wykaże jej nadal, trzeba go więc postawić w sytuacji przymusowej w której chcąc czy nie chcąc będzie musiał wyrzec się wszelkich aktów agresji.

Leonard Sobierajski

WIECZÓR PISARZY CHŁOPSKICH W WARSZAWIE

15 lutego odbył się w Warszawie w skromnej sali Związku Samopomocy Chłopskiej na Pl. Starynkiewicza 7, wieczór pisarzy chłopskich, skupionych w Oddziale Wiejskim Zw. Zaw. Lit. Pol.

Pośpiesznie zorganizowana impreza nie ściągnęła wielu słuchaczy. Na wieczór przybyła gromadka entuzjastów poezji, spora liczba przedstawicieli prasy, no i przybyli przede wszystkim przedstawiciele Min Kultury i Sztuki z min. Dybowskim i wice-min. Kruczkowskim na czele.

Wieczór otworzył Stefan Lichański krótkim referatem o dzisiejszym dniu literatury chłopskiej. Następnie czytali swoje utwory ci pisarze, którzy na wieczór zjechali się: Józef A. Frasik, Marian Kubicki, Antoni Olcha, Edward Marzec, Józef Morton, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Piętak i Stanisław Skoneczny.

Wieczór, mimo pewne braki organizacji wywołał duże wrażenie. Niektórzy z słuchaczy zwrócili się do pisarzy chłopskich z apelem, by powtórzyli w Warszawie imprezę w bardziej stosownej i reprezentacyjnej sali, choćby w sali któregoś z warszawskich teatrów.

J. ch.

Jan Bolesław Ożóg

WIERSZE*)

Na piecu orał

Na piecu orał, żyto siał,
ona płakała, on się śmiał

„Niech rośnie!“ — żyto, mirt i chmiel
w kopy im nagi stawiał Lel.

..Ona płakała, on się śmiał
i niebo z łat i cegieł tkał.

...Aby na skrzydłach kielń i pił
motyl maleńki tlił.

Matka Boska Rzeszowska

W Rzeszowie u Bernardynów
klęczało raz dwu murzynów.

Jeden murzyn był niebieski,
drugi ruski albo czeski.

Jeden przyniósł w ręce bazie
i położył na obrazie,

drugi świstał organkami,
aż zobaczył Ją za szkłami.

Matka Bozi śliczne nóżki
okryła listkami gruszki.

Na szczepie się objawiła
i tu dzieciątko powiła.

Piersi małe jak dwie gałki,
rączką zrywa ulęgałki:

Dziecię senne ssie paluszki
a ona je słodkie gruszki.

Na obrazie nikt nie widzi,
może tylko święty Idzi.

albo może święty Jerzy,
najpierwszy z rycerzy.

Ulotka

Bóg naszych pól—jak rozstrzaskany „Łoś“.
Milion czołgów miażdżyło front
i bomb i min —
i w śmierć z ostatnią gnał baterią zaprząg
wiernych koni.

Stąd,
z placu rzezi i agonii
niech ta pieśń pachnie jak łubin — ją proś,
gdy granat jak rybę opuchłą ściśnie syn.
aby lekką była,
tak jak prochom wata dalii.

Lotniska, skąd wystartują łany żyta i bobu,
błękity, skąd ślub jaskółki, krew zatopiła,
z barykad kalina się pali...

O nocy, gałęzie żałoby!
Nie koniec! Raz jeszcze na szaniec
Słonecznik, śliwina
i łopuch i kamień i zdrój!

W płachcie dróg, dźwigniemy wiechy
nowych stolic i nowe hangary.
Jeszcze wciąż drzemie najdalszy łopot
granic.
Stamtąd, jak motyl nad szyną, ostatni
powiew sztandaru.
Ramię do ramienia, góry i wody, doliny,
hej ziemio, zbrój się, zbrój!

1941.

*) Wiersze wyjęte z tomu „Teraz polna“, który ukaże się w najbliższym czasie nakładem Oddziału Wiejskiego Z.Z.L.P.

Czesław Garda ilustr. St. Cieloch

Mieszczańska opowieść

Rok już minął od pogrzebu, a ciotka Teresa ilekroć nas odwiedzi — zawsze się rozczula. Błyskając maleńkim brylantem pierścionka, przykłada chusteczkę do wiecznie zaczerwienionego nosa i zaczyna wspominać Feliksa.

Kończy się to zazwyczaj gniewnym pomstowaniem na „tą małpę". Feliksa żonę.

Matka stara się przekonać ciotkę że zbyt surowo wyraża się o synowej, że napewno nie „ona" winna, że „tak się wszystko złożyło".

A ciotka zawzięcie swoje:

— Nie, moja Helu, to tylko przez tą małpę.

Nie wtrącam się do tych rozmów. Nie cierpię ciotki Teresy. Milczę i przeżuwam mają antypatię, która zaczęła się równocześnie z historią Feliksa i wzrastała w miarę rozwoju wydarzeń.

O kilka lat starszy ode mnie kuzyn Feliks przyniósł z polsko - sowieckiej wojny *) żołnierską beztroskość życia („dzisiaj tu, a jutro tam..."), to też, kiedy otrzymał swoją pierwszą i jednocześnie ostatnią posadę w urzędzie skarbowym, nie przywiązywał dużego znaczenia do pieniędzy, pozwolił się eksploatować rodzinie. Córki ciotki Teresy, Władka i Cela, mogły teraz urzeczywistnić marzenia o futrach, co — były pewne — podniosło ich walory jako „panien na wydaniu".



Te inwestycje odzieżowe wyglądały z razu niegroźnie, wystarczyło coś niecoś gotówki na początek i weksle, potym stopniowo.

W tym pierwszym okresie harmonia w rodzinie Feliksa panowała idealna.

Pamiętam, kiedy ciotka przyszła do nas sprezentować nową suknię wizytową, nie mogła syna dość nachwalić, że taki dobry, że tak dba o rodzinę. I jakby dla ostatecznego potwierdzenia zaczęła drobiazgowo opisywać Władki futro „z łapek" i Celi „ze źrebaków".

Ciotka, jak również jej córki, zgodnie przepowiadały, że Feliks przy swoich zaletach serca i umysłu „zrobi karierę", rozumiały przez to, że się bogato ożeni.

Na razie nie pragnęły jeszcze tego, chciały go jaknajdłużej zatrzymać w domu.

Stało się odwrotnie.

Ach, co to było, kiedy w domu wuja Teodora dowiedziano się, że Feliks „chodzi z pensjonarką". I to z kim?

Stasia była jeszcze wtedy uczennicą 8 klasy gimnazjum państwowego, a ojciec jej — woźnym magistratu.

Ciotka, a za nią córki, chcąc zupełnie zdeklasować i poniżyć Stasię mówiły: „córka takiego stróża", albo wprost: „stróżówna". Oczywiście cenzus szkolny Stasi, którym przewyższała Władkę i Celę (ubiły zaledwie po 5 czy 6 klas), nie miał dla tych kobiet żadnego znaczenia.

Feliks nie dał się jednak zasugerować i zakrzyczeć, myślał poważnie o małżeństwie „właśnie ze stróżówną".

Wuj Teodor pod naciskiem kobiet wyraził sprzeciw, ale uczynił to za miękko, nie przekonywująco, wyczuwało się, że bliski jest załamania.

Nie oglądając się dłużej na tego „safandułę", kobiety same zaczęły działać. Nie mogły dopuścić, żeby Feliks, syn urzędnika kolejek wąskotorowych, poślubił „mezalians".

*) Mowa o roku 1920, (przyp. aut.).

KIEROWNICTWO całej akcji ujęła w swe ręce ciotka Teresa. Postanowiła zastosować środki radykalne.

Postępując według jej instrukcji, Władka i Cela przypilnowały wieczorem Feliksa, gdy odprowadzał ze spaceru Stasię do domu. Zrobiły na ulicy awanturę. Nim groźna postawa Feliksa zmusiła siostry do ucieczki, zdążyły nawymyślać Stasi, że włóczy się po nocach z „ich" bratem, że przyzwoita panna, w dodatku uczennica w mundurze, tak nie powinna, że wstyd, że... „tylko stróżówna tak potrafi" (ostatnie słowa dorzuciły już z bezpiecznej odległości).

To nie poskutkowało. Przyszli narzeczeni spotykali się nadal. Stasia tylko zaczęła się nieco konspirować, na spotkania wychodziła nie w berecie szkolnym, lecz w kapeluszu.

Wtedy, po gruntownych przygotowaniach, wystąpiła do ostatecznego uderzenia — ciotka Teresa. Poszła do gimnazjum i przed dyrektorką oskarżyła Stasię, że „bałamuci" jej syna, że umalowana i w kapeluszu chodzi z nim do kawiarni, że go „naciąga", że przyjmuje od niego pierścionki z brylantami, że syn t.j. Feliks ma obowiązki wobec rodziny, a taka bezwstydna rujnuje go materialnie.

Okazało się, że Stasia rzeczywiście nosi pierścionek z brylancikiem, który podarował jej Feliks.



Stasi nie wydalono oficjalnie ze szkoły, ale wytworzyła się tam taka atmosfera, że sama zrezygnowała z dalszego uczęszczania, a tym samym z ukończenia gimnazjum.

Poza tym, akcja ciotki Teresy przyśpieszyła tylko zaręczyny Feliksa. Wszystkie wolne chwile spędzał teraz w domu przyszłych teściów.

Wydarzenia, jakie wkrótce nastąpiły, zaskoczyły mnie zupełnie.

W urzędzie zawieszono kuzyna w pracy i rozpoczęto przeciw niemu dochodzenie dyscyplinarne na skutek skargi paru osób, właścicieli różnych drobnych przedsiębiorstw handlowych. Ludzie ci dowodzili, że powierzyli Feliksowi pieniądze, a on „z grzeczności" wpłacał je do kasy skarbowej, ułatwiając im w ten sposób formalności związane z opłatą podatku. Przez pewien czas Feliks wręczał płatnikom pokwitowania i wszystko było dobrze. Ale od wielu tygodni, choć wziął pieniądze, wykręcał się od okazania dowodu wpłaty. Za przywłaszczeniem przemawiał fakt, że wszyscy oskarżyciele otrzymali upomnienia, wzywające do opłacenia podatku.

Ciotka Teresa pieniła się ze wzburzenia, ale jednocześnie tryumfowała.

— To wszystko przez tę małpę — wykrzykiwała teraz pod adresem Stasi — a nie mówiłam?

Tymczasem, z polecenia prokuratora aresztowano Feliksa. Za złożeniem odpowiedniej kaucji, mógł jednak być do sprawy zwolniony.

Feliks gotówki nie posiadał, tłumaczył się od samego początku, że powierzone mu przez oskarżycieli kwoty użył chwilowo na opłacenie rat wekslowych i innych zobowiązań.

W domu wuja Teodora również pieniędzy nie posiadano, zresztą nie kwapiono się z przyjściem synowi z pomocą.

Wówczas, ojciec Stasi zaciągnął pożyczkę, dołożył wszystkie żmudnie uciułane oszczędności i jakoś starczyło na kaucję.

Ciotka Teresa uważała to za całkiem naturalne.

— Dawał im pieniądze — mówiła — poszedł przez nich do więzienia, niech go teraz ratują.

Feliks odzyskał wolność na kilka tygodni i w tym czasie wziął cichy ślub ze Stasią. Zamieszkał u teściów. W domu rodzinnym zjawiał się rzadko i na chwilę, gdy potrzebował czegoś ze swoich ruchomości.

Kiedy kuzyn odsiadywał już karę więzienną, często myślałem o jego przyszłości. — Jak sobie później życie ułoży? Posiadał tylko ogólne średnie wykształcenie, o powrocie na posadę w urzędzie nie było już mowy, więc co, gdzie? I w dodatku żonaty.

„Przyszłość" okazała się dla Feliksa o wiele brutalniejsza i okrutniejsza od tej, jaką sobie imaginowałem.

W czasie drugiego roku pobytu w więzieniu, kuzyn przeszedł zapalenie płuc i zapadł na zdrowiu. Stan jego uznano widać za groźny, bo wkrótce miał uzyskać przedterminowe zwolnienie, o pół roku wcześniej, niż głosił wyrok.

W domu wuja Teodora wiedziano o tym, gdyż Feliks korespondował z ojcem, do którego nie czuł urazy.

Ciotce Teresie wydało się, że nadeszła niespodziewanie okazja odzyskania syna. Ludziła się, że jeszcze wszystko da się naprawić i Feliks rozwiedzie się z „tą małpą". Najważniejszą sprawą było, żeby go tylko skłonić do zamieszkania w domu rodzinnym, gdzie przecież warunki do odpoczynku i kuracji o wiele miał lepsze niż w „tamtym" ciasnym, dusznym mieszkaniu, składającym się z kuchni i małego pokoiku.

Okoliczności układały się dla ciotki Teresy pomyślnie. Feliks opuszczał więzienie tak osłabiony, że trzeba było roztoczyć nad nim opiekę w ciągu całodziennej podróży koleją. Stasia w ostatnich tygodniach otrzymała pracę przy spisie wyborców do rady miejskiej i trudno jej było się zwolnić.

Więc kto miał jechać, jak nie matka? Pojechała i z całą troskliwością i nadzieją przywiozła tę swoją zdobycz.

Już następnego dnia nieporozumienie się wyjaśniło. Feliks przypuszczał, że rodzina ustosunkowała się przyjaźnie do jego żony, która — „mile widziana" — będzie go mogła odwiedzać. Tymczasem — ciotka Teresa okazała szczere zdziwienie.

— Jakto — mówiła — zrujnowała ci życie i jeszcze o niej myślisz!?

Nie znam szczegółów dalszej rozmowy, która — wiem tylko — przemieniła się w awanturę.

I tegoż dnia Feliks miał silny krwotok.

Ciotka musiała uznać swoją porażkę.

Stasia całe wieczory przesiadywała te raz przy mężu, a później, gdy stan jego pogarszał się coraz bardziej, zamieszkała u teściów na dobre.

Lekarz nie robił już rodzinie nadziei i powątpiewał, czy Feliks dożyje do wiosny.

Chory jednak chciał żyć i nadziei nie tracił.

— Zobaczycie, gdy nadejdzie wiosna, — mówił — to podobnie jak cała przyroda się odradza i ja się odrodzę.

Zażywał też cierpliwie wszelkie leki i poddawał się zabiegom nawet nie lekarskim.

Ciotka dowiedziała się o pewnym znachorze, cudotwórcy nieomal, który leczył chorych nie oglądając ich wcale. Wystarczyło mu obejrzenie moczu chorego a wnet stawiał diagnozę, dawał skuteczne środki i rady.

Ciotka zaniosła próbę moczu Feliksa. Znachor orzekł, że stan chorego jest, owszem, ciężki ale do wyleczenia. Zalecił, jako skuteczną kurację, okładać choremu klatkę piersiową płatami świeżej, niesolonej słoniny.

Feliksa odwiedziłem w czasie choroby raz tylko i to już na kilka dni przed zgonem. Od czasu aresztowania nie widziałem go wcale, gdy powrócił chory, sądziłem, że wizyta moja będzie go krępowała, że jako człowiek, który siedział w więzieniu, będzie się wstydził spojrzeć mi w oczy. Czułem się po prostu w jego sytuacji i przeżywałem jego upokorzenie.

Wobec beznadziejnego — jak słyszałem — stanu zdrowia kuzyna, przemogłem skrupuły i zdobyłem się na te nie wczesne odwiedziny.

Chłodne światło zachodzącego słońca sączyło się przez szyby do pokoju.

Przy łóżku Feliksa siedziała jego żona. Chory leżał akurat z okładem słoniny, po którym — twierdził — zawsze czuł poprawę.

Na mój widok uśmiechnął się słabo i wysunął powoli rękę.

Poczułem jakiś bolesny uścisk w okolicy serca, nie poznawałem Feliksa.

Jakże niepodobny do tego mężczyzny, którego pamiętałem. Gdzie się podziała jego czerstwa i ogorzała twarz? Czy ten zarys czaszki, opięty blado - żółtą skórą, był kiedyś twarzą Feliksa? A głos? Przypomniało mi się, jak to dawniej, na pewnym weselu w naszej rodzinie, Feliks, podpity już nieco, dźwięcznym barytonem deklamował, pobudzając wszystkie kobiety do łez: „I wy mnie pytacie z pijanym hałasem, co znaczy ten rdzawy kindżał mój za pasem, co znaczy żem czarnym obwiązał się szalem, gdzie z dawna krwi krople zastygły koralem..." (później, dla wzbudzenia weselszego nastroju, kuzyn demonstrował jak Żyd tańczy krakowiaka).

A teraz?

— Jak widzisz — powiedział chory tak cicho, że pochyliłem się w jego stronę, aby dobrze usłyszeć — kuruję się, a co u ciebie, Julku?

Po śmierci i w czasie pogrzebu Feliksa, ciotka Teresa nie mniej rozpaczała od Stasi.

Wydawać się mogło, że po tej bolesnej stracie ciotka nie prędko „wróci do siebie" i „zbierze myśli".

Mogło się tak wydawać, a jednak — zaraz po pogrzebie ciotka rozprawiła się ze synową.

— Wypaliłam tej małpie kilka słów prawdy — opowiadała później mojej matce — wymówiłam dom i zażądałam zwrotu pierścionka z brylantem.

W OSTATNIM NR 8 (87) „WSI"
Z DNIA 23 LUTEGO 1947 R.:

Jan Aleksander Król — Dwie epoki ruchu ludowego (II); **Anna Kamieńska** — Prowincjałki; Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś; **Jan Sobek**; **Jan Wilk**; **Tadeusz Papier** — Ostatnie wierzby; **Bolesław Soczyński** — Kasztanki; **Piotr Stanisław Ziarnik** — Recenzje; **Mieczysław Kafel**—Kobiece czasopisma wiejskie; Fakty i zdania; Komunikaty; 2 ilustracje, 8 stron.

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA"

Anna Świrczyńska — Arkona—Gród Świetowita — str. 233.

W. Wasilewska — Ojczyzna — str. — 275.

Upton Sinclair — Nafta — tom II—str. 322.

WYDAWNICTWO POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO

Problemy Łużyckie — str. 108.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Henryk Jabłoński — Opinia — Parlament — Prasa — str. 308.

Wiktor Krzyżanowski — O Polskości Śląska, str. 66

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA"

Adam Ważyk — Antologia współczesnej poezji francuskiej — str. 250.

Teofil Wojeński — Historia Literatury Polskiej — str. 164.

WYDAWNICTWA INNE

A. E. Balicki — Ku czci Kościuszki, str. 15, Wydawnictwo Głównego Komitetu Kościuszkowskiego w Krakowie, 1945.

Czarne bogactwo węgla — str. 31, Wydawnictwo Komisji Popularyzacji Planu Odbudowy Gospodarczej.

Dziś i jutro hut — str. 31, Wydawnictwo Komisji Popularyzacji Planu Odbudowy Gospodarczej.

Wieś pragnie kultury

Józef Kapuściński

Od sąsiedzkiej gawędy wieczornej — do książki

Ciągle aktualną jest sprawa dostarczania wsi dobrej i taniej książki i gazety. Wieś jest największym konsumentem słowa drukowanego, ale tego słowa nie może się doprosić we właściwej formie i ilości. Jeżeliby ktoś twierdził, że ludzie na wsi nie lubią książek lub że weś przy swojej codziennej trosce nie potrzebuje potrawy duchowej, ten grubo się myli. Będąc małym chłopcem, pamiętam, jak w jesienne i zimowe wieczory schodzili się sąsiedzi, którzy nawet czytać i pisać często nie umieli, i całymi wieczorami opowiadali sobie różne baśnie, wrażenia z podróży furmankami po sól do Drohobycza, po deski do dalekich tartaków w górach. To znowu wspomnienia z czasów pańszczyźnianych, baśnie o różnych strachach we dworze, o czarownicach, o służbie wojskowej i t. p. Repertuar tych opowiadań był tak obfity, że jak zima i jesień długa, to na każdy wieczór była inna opowieść, inna pieśń, inne wspomnienia. Trzeba też przyznać, że pamięć u tych ludzi była fenomenalna. Gdyby wówczas ktoś mógł spisać te wszystkie opowiadania, to byłaby dziś naprawdę cenna książka ludowej ustnej tradycji.

W późniejszych czasach kiedy już ten i ów umiał czytać i zdobył się na kupno książki na jarmarku, a była nią „Proroctwa Sybilli", „Powieść o zbójcach" i t. p., to znowu książka była czytana i komentowana w taki sposób, że podziwiać dzisiaj trzeba bujność wyobraźni tych ludzi.

W owych „Proroctwach Sybilli" były lapidarnie ujęte i przekręcane przepowiednie z niektórych rozdziałów z Apokalipsy św. Jana, ale wiejscy opowiadacze tak wyraźnie, tak obrazowo umieli je ująć i przed oczy przedstawić, że ostatnia wojna w całej swej grozie była opowiedzianą. Ówczesnym ludziom ani się śniło o czołgach, bombowcach, krematoriach i obozach nowoczesnych i nawet uczeni nie zdawali sobie z nich należytej sprawy, a jednak prości ludzie na wsi opowiadali, że będą takie kule do karabinów, co człowieka w kawałki rozedrą, że będą płomieniem się palić, i padać tak gęsto jak groch. To znowu opowiadano o takich smokach żelaznych, którymi szatani i ludzie, co im się do służby zapiszą, jeździć będą, że nic im nie zaszkodzi, ani ogień ani woda i żadna kula ich się nie chwyci — mówili też, że ludzie tak się będą nienawidzieć, że jeden drugiego będzie topił i palił w ogniu, a popiół na największej burzy rozsiewać po świecie będzie. Mówiono także, że w powietrzu będą latać takie potwory, że od ich huku uszy pękać będą, a one ogień na ziemię będą rozrzucać, że naród będzie szukać schronienia w wodzie, w lesie, w dziuplach drzew i pod ziemią. Że ludzie będą całymi masami, jak bydło na jarmark pędzeni z miejsca na miejsce i członkowie jednej rodziny po całym świecie szukać się będą. Jednym słowem, czy to była intuicja człowieka obcującego z naturą, czy to była zbiorowa zdolność przenikania przyszłości, dość na tym, że kiedy przypomnę sobie te zimowe wieczory z dzieciństwa, opowieści straszne, że nieraz się we śnie zrywałem od tych okropności, to widzę, że to, co dzisiaj przeżywamy, już wszystko nasi pradziadowie i dziadowie dokładnie sobie tylko na swój styl i sposób opowiedzieli. Kto żył w takiej atmosferze wsi, w której ów duch sąsiedzki, ów kunszt gawędziarski był szeroko rozwinięty, ten przyzna mi zupełną rację.

Jaki z tego praktyczny wniosek? Oto taki, że wieś lubi czytać pamiętniki, powieści historyczne, nowele z życia wsi, wiersze, albo niedługie poematy, opowiadania wojenne, powieści takie, jak Kraszewskiego, Sienkiewicza i innych. Już teraz spotkałem się z człowiekiem wsi, który w rozmowie na temat książki i wojny obecnej tak się wyraził: „Żeby to teraz tak tę wojnę opisali, jak Sienkiewicz dawne opisał, to byłoby co czytać". Wieś łaknie dobrej książki i dużo nawet, ale żeby cena tej książki nie była odstraszająca. Jakże to zapłacić parę setek za książkę i raz tylko ją przeczytać?

Trzeba kupić kilkanaście książek na jedną zimę, czyli wydać parę tysięcy. To już wydatek duży. Potrzeba więc we wsi biblioteki, w którejby było przynajmniej kilkaset książek. Kto ma się tym zająć? I tu znowu jedna odpowiedź — organizacja wiejska. Ale ja wiem, że dużo jest ludzi na wsi, którzy za punkt honoru swego uważają to, aby mieć w domu własne książki i to dosyć — tylko niech te książki będą tanie. Dobrą ciekawą książkę wieś szanuje i w gazetę oprawia. Oprócz książek stałym gościem wsi był i jest zawsze kalendarz; kalendarz ma być uniwersalny, żeby w nim były i opowiadania i humor i rady praktyczne i o pogodzie i to wszystko, co wieś na każdy dzień szuka. Prawie każdy z gospodarzy na jarmarku przedzimowym obok kupna beczki, kożucha i innych statków domowych, kupował kalendarz. Im wcześniej był wydany kalendarz, tym więcej mógł liczyć na zbyt. Dzisiaj ten moment nie jest brany w rachubę i dlatego nie mamy ani dobrych kalendarzy, ani też szerokiego zastosowania.

Szkoda, że redakcja „Wsi" i „Chłopów" nie opracowała kalendarza dla wsi na rok 1947. Gdyby taki kalendarz był już w sprzedaży, to milion jego egzemplarzy byłoby się napewno rozeszło. Pamiętam, że w domu ojca kupiony już na Wszystkich Świętych kalendarz był czytany na takich wieczorach prawie do świąt Bożego Narodzenia, to tak od początku do końca i dyskutowany na swój sposób przez obecnych.

Dzisiejsze wydawnictwa nie liczą się ze wsią tak, żeby wieś zdobyły dla siebie zupełnie i dlatego też wieś szuka odpowiednich dla siebie książek, pism i kupuje często najmniej jej odpowiadające. Aby mieć materiał na wydawanie pism, czy książek dla wsi, należałoby ogłosić niejeden, ale kilka konkursów na pamiętniki z tej wojny, na opisy przeżyć całej wsi, byłby to materiał dla przyszłego historyka, czy ludowca nieoceniony, a dla wsi lektura pierwszorzędna.

Jan Marszałek

O właściwe metody

Jak wieś przyjęła dekret o obowiązku szkolnym

Maksymalne upowszechnienie oświaty w państwie, a więc i upowszechnienie oświaty na wsi, to nie tylko postulat kulturalny, którego słuszności nigdzie się nie śmie negować, ale i konieczność społeczno - gospodarcza. W zakresie gospodarczym ma ona dwa aspekty: w stosunku do obywatela i w stosunku do Państwa. Państwu winna dać szkoła obywatela wykształconego ogólnie, zdolnego do wykonywania najrozmaitszych zadań o charakterze zawodowym czy administracyjnym, zadań takich mnóstwo powstało w związku z nową sytuacją polityczno - społeczną Państwa.

Zaś obywatelowi winna ona umożliwić awans społeczny, równocześnie zapewnić opłacalność nauki przez zapewnienie awansu gospodarczego. Brak widoków na opłacalność nauki przyczynił się do tego, że spory odłam społeczeństwa wiejskiego nie doceniał należycie konieczności nauki. Wszystko cobyśmy powiedzieli o podniesieniu intelektualnym wsi w stosunku do poziomu z przed pierwszej wojny światowej, to tylko drobny odcinek pracy oświatowej o bardzo elementarnym zasięgu.

Dziś, kiedy życie wymaga od chłopa nie tylko umiejętności czytania i pisania na poziomie drugiej klasy szkoły powszechnej, ale i wiadomości z zakresu fizyki czy mechaniki (maszyny rolnicze) jak i najogólniejszych wiadomości z dziedziny prawno politycznej w związku z reformami społeczno - ustrojowymi — chłopu wykształcenie elementarne już nie wystarczy. Trzeba mu zapewnić przynajmniej ośmioletnią szkołę powszechną.

Kwestię upowszechnienia oświaty można jednak załatwić w dwojaki sposób. Źle i dobrze. Urzędowo — według narzuconego społeczeństwu okólnika czy rozporządzenia ministerialnego i w sposób życiowy — liczący się ze stroną materialną zagadnienia.

Przykładem urzędowego, papierowego załatwienia tej sprawy było rozporządzenie Naczelnika Państwa o obowiązku szkolnym. Rozporządzenie wyszło a społeczeństwo ustosunkowało się do niego tak jakby się ustosunkowało do jakiegoś uciążliwego podatku.

Autor, czy autorzy tego rozporządzenia zupełnie niedocenili momentu psychologicznego tego zagadnienia — przymusu. Nic więc dziwnego, że byliśmy świadkami tak szkodliwego, zarówno z punktu widzenia gospodarczego jak i kulturalnego, zjawiska wtórnego analfabetyzmu. Poza tym sam fakt przymusu szkolnego utrudniał mimo woli pracę nauczycielowi, który musiał nieraz tolerować wśród uczniów element demoralizujący resztę klasy z tej tylko przyczyny, że dekret o obowiązku szkolnym odnosił się zarówno do dzieci chętnych jak i niechętnych nauce. Obowiązek był obowiązkiem tak jak np. przymusowe szczepienie ospy i dlatego też przysłaniał urzędowym cieniem dobroczynne skutki nauki.

Mówił mi jeden z nauczycieli, że przed wojną najczęściej nauczyciel dostawał coś od chłopa nie za to, żeby mu lepiej przypilnował dziecko w nauce, ale żeby je na kilka dni uwolnił od nauki do roboty w gospodarstwie. Tymczasem przyszła wojna ze wszystkimi barbarzyństwami okupacyjnej „kultury", która albo do minimum ograniczyła prawo polskiego dziecka do nauki, jak to było w t. zw. G. G. albo też zniosła całkowicie nauczanie w okręgach włączonych do Rzeszy. Ten zakaz nauczania wydany przez okupanta stał się najlepszym argumentem propagandy oświatowej.

I dziś nie potrzeba nikogo na wsi przymuszać do wypełnienia obowiązku szkolnego. Szkoły na wsi są przepełnione. Chłopi ze wsi, w których szkoły ze względu na brak sił nauczycielskich nie zostały dotychczas uruchomione, bez ustanku bombardują inspektoraty szkolne podaniami o przysłanie choćby jednego nauczyciela, byle ich dzieci mogły „wyjść na ludzi".

Z tego pragnienia „wyjścia na ludzi" przebija wyraźnie wiara w możliwość awansu społecznego chłopa przez naukę. Niechże ta wiara nie zostanie zachwiana, a możemy być pewni, że jeżeli tylko dość będzie sił nauczycielskich, to ideał oświaty powszechnej zostanie całkowicie zrealizowany. Możliwość awansu gospodarczego i społecznego bardziej przemówi do trzeźwego rozumu chłopa niż poparty najbardziej bezwzględnymi sankcjami karnymi dekret ministerialny. Dlatego też droga do urzeczywistnienia postulatu oświaty powszechnej wiedzie nie przez rządowe rozporządzenia o przymusie szkolnym, ale przez ułożenie takich stosunków w Państwie, by ludzie z cenzusem naukowym mieli zapewnioną opłacalność swoich trudów.

Państwo zaś będzie miało wtedy również całkiem realną korzyść z osiągniętych wyników. Bo pomijając zaoszczędzenie wydatków związanych z likwidowaniem wtórnego analfabetyzmu — wykształci odpowiednio liczne kadry fachowców we szystkich dziedzinach, a tymsamym przyspieszy nie tylko odbudowę ale i rozbudowę we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Nie od dziś to bowiem wiadomo, że wykształconemu i krowa więcej mleka daje. Wieś zaś przez osiągnięcie postulatu oświaty powszechnej, zapewni sobie należny jej szacunek wśród reszty społeczeństwa. Wszyscy zaś, którzy przez utrzymanie chłopa w ciemnocie liczyli na odbudowę swych jaśnie wielmożnych praw i przywilejów, będą musieli swoje marzenia schować do lamusa. Bo chłop ze szkołą z zajętych raz pozycji usunąć się nie da.

Lucjan Malicki

Najważniejszy problem

Jesteśmy świadkami epoki, gdy na arenę wstąpiły narody słowiańskie, idea demokratyczna objęła te państwa, hasła bojowców z przed wieków wchodzą w życie. Realizacja ta winna pociągnąć cały lud, a jednak tak nie jest. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, co wokół niego się dzieje. Takim bielmem, które nam zakrywa oczy, jest lekceważenie oświaty, które też nie zrodziło się wśród chłopów, bowiem i szlachta przed wiekami nie dozwalała uczyć się młodzieży, uważając to za zgubne. Tak też jest i u nas na wsi, że często ta pozostałość dawnej szlachetczyzny zaprząta nam głowę i bezmyślnie, sami nie umiejąc, innym odradzamy, aby się nie uczyli, „bo to chleba nie da".

Ci, co tak prawią, bardzo często są uczciwymi ludźmi, pracowitymi gospodarzami, dobrze wychowują swe dzieci, nie wiedzą, jak wielką krzywdę czynią swym dzieciom, państwu, a nawet sobie samym. Ci zazwyczaj biedniejszymi umierają, aniżeli na świat przyszli. Żyją oszczędnie, odmawiają sobie najpotrzebniejszych rzeczy w życiu. A o gazecie i książce, to już i mowy nie ma. Są wsie, w których nie ma żadnego życia, które jakoby odłączone od Polski i świata, mało czują i mało myślą i nawet nie narzekają, choć bieda wszystkimi otworami do chałup wpada, a przysłowiowym jest powiedzonko u tych na pytanie, — co słychać — odpowie — „staro bieda".

Jedni wstydzą się fałszywie przyznać, iż tak jest, inni zakrywają to przed oczyma społeczeństwa, a jeszcze inni nie znają prawdziwej nędzy wiejskiej, prawdziwej biedoty. Ta jest spowodowana brakiem oświaty, o której tyle się mówi w prasie, na konferencjach różnych, wiecach i t. p. Wprawdzie Rząd poczynił starania ku temu, organizacje polityczne, samorządowe i młodzieżowe robią, co mogą, a w wielu wsiach jak było ciemno, tak nadal pozostaje.

Wiele jest rodzin chłopskich, które jedyną naukę pobierają z ambony, a jedyną ich lekturą jest książeczka do nabożeństwa, poza tym nie stykają się z żadną nauką, prócz przestarzałej metody uprawy ziemi i tradycyjnej obróbki lnu. I tu nie można się dziwić, że nie ma postępu na wsi. Któż go ma wprowadzić? Nie pomogą miasta ni Rząd, choćby mieli największe intencje, jeśli z tego samego szeregu nie wyjdzie jednostka, którąby wskazała drogę prowadzącą do światła.

Analfabetyzm obejmujący dziś około 20 proc. ludności, hamuje postęp, bowiem wokół analfabetów zbierają się typy chłopów „obojętnych" na wszystko, tak starszych, jak i młodzieży, której stosunkowo jest więcej. „Obojętni" nie są zacofańcami, wiedzą, że możnaby wreszcie pracą gromadną pomóc sobie wzajemnie, lecz nie ma przewodników w każdej wsi, gminie, województwie, tworząc całość podobną do Piastowskiej — Polskę Ludową.

Praca oświatowa jest trudna o tyle, że tu, gdzie nie ma szkoły elementarnej, świetlicy, domu ludowego, ani innych instytucyj, ani też światła elektrycznego, nonsensem jest, aby utrzymał się tam człowiek z pewnym wykształceniem. W takiej gromadzie utrzymuje się długo nędza, błotnista droga, oraz lud wiecznie niezadowolony. A zatem najważniejszy problem dziś tkwi w wprowadzeniu popularnego czytelnictwa na wieś, bowiem wówczas ci chłopi, którzy pogłębiają swą wiedzę na wyższych uczelniach i powrócą do nas kiedyś na wieś, by wspólnie z nami pracować, będą mogli się przynajmniej z nami dogadać. I chociaż naturalną rzeczą jest ta ospałość u chłopów chociaż to jest ciężka praca, trzeba dołożyć starań, aby ci, co przypominają nam dawną szlachtę, zerwali z wstecznością, i zdążali wspólnie z tymi, co już włożyli wkład w dzieło odbudowy naszego Domu.

Andrzej Braun

GODZINA ZŁUDY

Dni były pełne światła,
na buczeniu bąków kołysał się świat,
maki migotały gorączką
suchych oczu, wysadzonych przez głód.
Szare gonty, opuchłe mchem
utonęły w powodzi chmielu;
koronkowo rozpięte dachy — —
żarem drewna zadrgały chmury.
Brudny drelich śmierdzących szmat —
jednak mundur. Jakże to wiele.
Dwa granaty z cieplutkiej blachy.
Senność złudna bezsennych lat.
Na zapylonej drodze
siedziałem, jak święta figura.
Nic nie wznosiło tu pyłu,
tą drogą nie jeździł już nikt.
Za widnokręgiem we mgłach
biegały stuki wystrzałów.
Rzewne kłamstwa legendy...
a lato zwykłe, pachnące.
Dzień tak wąski, jak złota brew,
tkwiące w ustach tysiączne słowa
niepotrzebne: Nie miałem co jeść —
tylko w ręku nabrzmiała pepesza.

Władysław Marcinkowski ilustr. A. Strumiłło



...Hej zdawiny!... W sobotę bydom zdawiny!... — Rozległo się znowu po całej wsi.

Kobiety szeptały sobie zazdrośnie, dziewuchy jazgotały wesoło i niby życzliwie przypochlebiały się młodej żeńcowej. Chłopaki już z samej ochoty sobie przytupywali, a chłopy szykowali gardziele, czując w powietrzu zapach gorzoły... A nawet i dzieciarnia rozkrzyczała się radośnie. Nic dziwnego, przecież zdawiny nie co sobotę się zdarzały.

Właśnie w tydzień po Tomkowym powrocie z wojska, niespodzianie zdarzyły się zdawiny.

Ludziska mieli się z czego cieszyć tym bardziej, że to ich tak nagle zaskoczyło. Bo tu raptem gruchnęła wieść, że do Hanki Zająców zaszedł w rainy Stachu Kurek — znany na całą okolicę tonielcznik — z Dużej Kołudy. Że to Zającowie niezgorzej się mieli, a Hanka była ich pierwszą córką na wydaniu, toteż tak wesele jak i zdawiny, zapowiadały się dość hucznie.

I odbyła się ta uroczystość, według wszelkich prawideł, tj. w sobotę przed pierwszą zapowiedzią, a już z taką wysadą, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali.

Już od samego południa wszystkie kobiety zabrały się tak do roboty, że jeszcze przed zachodem słońca, miały wszystko do biesiady gotowe.

Zanim pierwsi goście zaczęli się schodzić, już na ponakrywanych białym płótnem stołach, piętrzyły się na kamiennych miskach całe stosy pytlowego chleba z masłem, a z białych salaterek z gęstej, na kwaśno zaprawionej śmietany, wychylały swe ciemne boki całe masy tłustych wymoczonych i gustownie oprawionych śledzi. Ale tak wszystko jędrnym pieprzem i złotawym bobkowym liściem doprawione, a talarkami cebuli ozdobione, że jeno brać i jeść.

Na pierwszym miejscu, tuż obok Państwa Młodych, gdzie zasiadł włódarz ze swoją żoną — sama włódarka miała Hankę czepić — podano białe, w różnorakie wzora pomalowane talerze, reszta zaś, to jest młodzi, mieli ucztować, wprost ze salaterek.

W izbie wzrastał coraz większy tłok i rozgwar, a tu coraz nowi goście nadchodzili. Jednak, że to Kij, który nieomal zjadł swoje zęby na dróżbowaniu, nad wszystkim czuwał, umiał i dziś sobie poradzić. Dla każdego gościa już miał miejsce upatrzone, wiedział gdzie i kogo bez uchybienia godności i starszeństwa usadzić.

Zdawiny były jakby samą przygrywką do wesela. Znający się na tem ludzie już podług zajmowanych miejsc, dokładnie wiedzieli, którzy i jakie stanowiska na weselu będą zajmować. Która kobieta Młodą Pannę oczepi, które jej przy tym obrzędzie będą asystowały... a tak samo i z młodzieżą. Jeno z dziewuchami to było trochę spierki, a nawet sam Kij znalazł się w niemałym ambarasie.

Zającowo koniecznie chciała, aby Nastka była Hance do prawego boku co znowu z wiadomych powodów było Kijowi nie na rękę. Według swego planu, to chciał tak urządzić, aby Jagna z Tomkiem była do prawego, a Stachu i Nastka, do lewego boku. Lecz Zającowo, która w ostatnim czasie miała dość własnego kłopotu, o jego zamysłach nie wiedziała, uparła się koniecznie na swojem.

— Nastka — powiada -- była zawdy jej — niby Hanki — najlepszom przyjaciółkom i ona musi być do prawego. — Ale mówiąc to, nieśmiała prawdy wyznać. Chodziło jej zapewne o to, że Jagna była jej za biedna. Kij próbował wyperswadować jak umiał, lecz kobieta uparła się i tyle. Dopiero powaga włódarza dokonała tego, że się po Kijowej woli stało. Doświadczony starzec w lot poznał, o co się pysznej kobiecie rozchodzi, więc starał się, tym więcej rozbudzić w niej miłość własną, a tak jej umiał ładnie do serca przemówić, że kobieta się wnet na wszystko zgodziła.

— Widzisz — powiada — że takij dziewusze jak Jagna, co to nimo ani matki ani ojca jeno jest sama jak ten kołek w płocie, nie można tego jej sieroctwa dać odczuwać. — A że mówił jej na „ty" to nić dziwnego bo tak ona jak i nieomal połowa całej wsi, byli to jej chrześniacy. Kobiecie aż łzy w oczach stanęły z rozczulenia, a stary jeno poprawił kapelusz i perswadował dalej.

-- Czy to nie bydzie dla ciebie honor jak ludzie przed kościołem zobaczom wesele i się zadziwią — przecie ludziom to wszystko popadnie. Patrzta, bedom mówili, jak to ładnie, że tako bogato Zającowo a takom bidnom sirotom nie pogardziła, jeno ją wybrała na starszą druhnę!...

Kobieta już się nie sprzeciwiała, jeno podniosła fartuch do oczów i — pocałowała starego w rękę.

Ha, no — szepnęła — boć wasz rozum jest inakszy jak mój...

Kiej tak mówicie, to niech już bydzie.

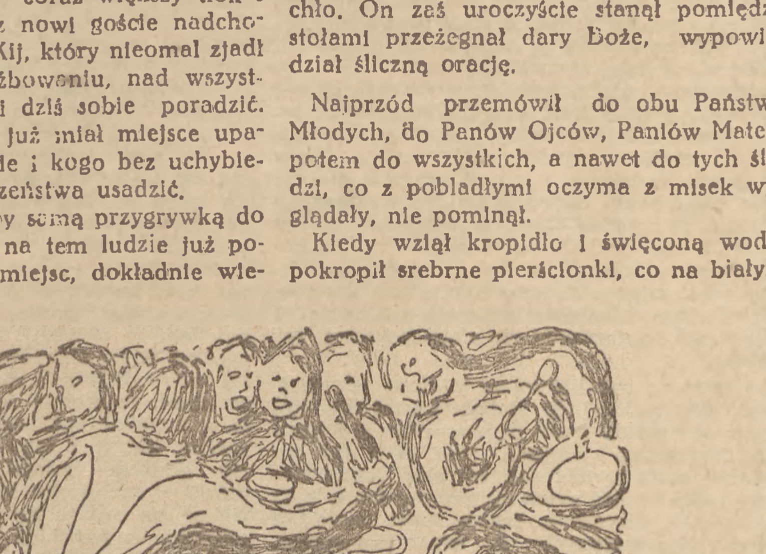
— — — — — — — —

Przyjemny zapach jałowcu, którym wykadzono izbę, zmieszany z kwaskowatym zapachem świeżego chleba i ostrych przypraw, już wszystkich podniecił. A, kiedy zaczęto na stoły stawiać stufowe flachy wódki, wina, likierów, to chłopy z uciechy aż nosami pociągali.

Na dany przez Kija znak, wszystko ucichło. On zaś uroczyście stanął pomiędzy stołami przeżegnał dary Boże, wypowiedział śliczną orację.

Najprzód przemówił do obu Państwa Młodych, do Panów Ojców, Paniów Matek, potem do wszystkich, a nawet do tych śledzi, co z pobladłymi oczyma z misek wyglądały, nie pominął.

Kiedy wziął kropidło i święconą wodę, pokropił srebrne pierścionki, co na białym talerzu wśród mirtowego wianuszka leżały, to wszystkim kobietom aż łzy w oczach stanęły.



A Hance to się już jak groch po sznurówce kulały. Wprawdzie później dziewuchy sobie opowiadały, że ona trzymała pod stołem rozkrojoną cebulę i te ukradkiem do oczu przytykała... Jednak co do tego, to tam pewności nie było...

Włodarz z namaszczeniem, włożył obu młodem pierścionki na serdeczne palce, a dopiero potem Kij, zachęcił wszystkich do jadła.

...Zaświergoliły skrzypce, zahuczały basy... i zaszczekotały blaszane łyżki.

Najprzód jednak poszły w ruch kieliszki i zaczęły krążyć dookoła. Roześmiały się wszystkie gęby, zakurzyły się czupryny... Zaśpiewały wesoło kobiety.

— Oj... już nasza! Drą się i klaskają w ręce

— Hej... jeszcze nasza! Odkrzykują hurmem dziewczyny. — A chłopaki już na dobre pałaszują łyżkami po miskach i trzaskają w podkówki aż miło. Każdy chłop, kiedy spory kielich wygruchnie, splunie sobie przyzwoicie pod stół, to odchrząknie ze smakiem i kielich podaje dalej.

— Boże Ci dej zdrowie, Michale!...

— Pij z Bogiem Kuba!

— Na zdrowie wom, Kozieł, pijcie z Panem Jezusem! — i drżącą ręką po kieliszek sięga.

— Dej wom Boże zdrowie wudarzyczku!

— Gustuje! — odparł krótko, bo chociaż kieliszkiem nie gardził, to jako przykładny człowiek, nie lubił, wzywać Imienia Pana Boga na daremno...

...A zabawa, już się na dobre rozkołysała. Wśród wybuchów śmiechu i radosnych okrzyków i piosneczek, słychać głośne chrupanie śledziowych chrząstek. Wszystko rozradowane, bawi się aż miło, a wszystko po swojemu, po kujawsku, po wiejsku...

Już rozwinął swoje skrzydła jeden, zgodny, beztroski zgiełk i ten tak nastrojowo do chłopskiej duszy przemawiający hałas, co to każe ludziom zapominać o wszystkich troskach i zgryzotach codziennego życia. — Ten nastrój powabny, ten miły kujawski śpiew, ta chłopska ochota porwały za sobą wszystkich, młodych i starych, tak chłopów i chłopaków, jak i kobiety i dziewuchy.

A nawet ten tak zawsze poważny włodarz, nie dał się w uciesze wyprzedzić. Brzęka sobie łyżką po talerzu i w takt muzyki cicho podśpiewuje:

Hej dziś dziś, a nie jutro,
Bo dziś wesoło jutro smutno,
Dzisiaj trzeba świata użyć,
Jutro znowu panu służyć...

A dający na wszystko baczenie stary Kij, z białym ręcznikiem pod pachą, cały spocony, jak tur czerwony, chodził pomiędzy stołami i uważał...

Mieczysław Dereżyński

O Władysławie Marcinkowskim

Z ziemi rodzinnej Jana Kasprowicza i Stanisława Przybyszewskiego wywodzi się spora gromada pisarzy ludowych, których nazwiska bądź żyją w tradycji, bądź dopiero docierają do świadomości opinii literackiej.

Niezaprzeczone są zasługi tych pisarzy spod strzechy kujawskiej, którzy — pochodząc z ludu — dla ludu tworzyli w okresie, poprzedzającym pierwszą wojnę światową. Do rzędu tych skromnych, dziś już nie żyjących, a często zapomnianych pisarzy chłopskich należą: nauczyciel, redaktor i autor broszur popularnych Michał Łukowski z Chróstowa, trzej dziennikarze, chlubnie zapisani w dziejach prasy śląskiej i pomorskiej — Józef Siemianowski z Szarleja, Bronisław Koraszewski z Kijewic i Józef Ulatowski z Suków, wreszcie autor broszur politycznych dla ludu i uczestnik komuny paryskiej, dziennikarz radykalny — Marceli Kujawa-Polczyński spod Pakości oraz organista i rymopis Antoni Pluta.

Do samorodnych talentów współczesnej wsi kujawskiej zaliczyć trzeba poetę i nowelistę Franciszka Becińskiego z Pilichowa, poetkę i autorkę opowiadań sielskich Jadźkę z Kujaw (Celinę Lewandowską z Ciechrza) oraz Władysława Marcinkowskiego z pod Inowrocławia.

Marcinkowski, chciwy wiedzy samouk z czworaków folwarcznych, dał się poznać jako autor kapitalnych gawęd kujawskich, których walor stanowi przede wszystkim autentyzm folklorystyczny i gwarowy.

Wł. Marcinkowski urodził się 1874 roku jako syn włodarza w powiecie inowrocławskim. Ojciec jego siedział długie lata w Węgiercach, następnie w Janikowie, gdzie zmarł w 1913 r., przeżywszy lat 89.

Przyszły pisarz ludowy dziecięctwo miał niewesołe a przeżywał je pod hasłem niedawnych wydarzeń. Powstanie 1863 r. i „Kosijerka 1848 r." — były to tematy, które się często o uszy jego obijały i docierały do dna duszy rozmarzonego, wątłego chłopca.

Do szkoły uczęszczał Marcinkowski w Ostrowie pod Pakością. Z rodzinnych Węgierc trzeba było w spiekotę, silną zadymkę lub mróz codziennie przebyć spory szmat drogi (około 5 km), co ze względu na cherlactwo uczniaka ujemnie wpływało na jego konstrukcję fizyczną. Podręcznikiem do nauki w szkole był zwyczajny elementarz, a w wyższych oddziałach „Przyjaciel Dzieci", coś w rodzaju naszych dzisiejszych czytanek. Z tym „Przyjacielem" Władek, zaprzyjaźnił się na dobre.

W roku 1884 ojciec jego przeniósł się do Janikowa. Majątek ten, leżący w bliskości stacji kolejowej na linii Poznań — Warszawa, niczym nie przypominał odludzia. Wielu podróżnych wysiadało tutaj, a nieraz spóźnioną porą, nie mogąc w dalszą udać się drogę, przychodziło do jego rodziców na nocleg. Byli to przeważnie rzemieślnicy i oficjaliści dworscy. Rzecz jasna, że nie obyło się bez rozmów na aktualne tematy polityczne.

Przychodzili dość często: żebracy o kulach, inwalidzi z powstania 1863, 48 roku, a stałym gościem był stary Marcin, kapral W. P. z roku 1831 *) oraz żylasty chłop Kij **) w wysokim kapiszonie i szerokiej opończy, stary weteran powstań.

Po ukończeniu szkoły w czternastym roku życia poszedł Marcinkowski na zaciąg. Była z tego znaczna radość w domu, gdyż nie potrzebowano wynajmować obcego parobka. Niestety, na tym zaciągu słabowity wyrostek nie wiele zdziałał. Więcej obchodziły go książki i interesowali bohaterzy powieściowi niż robota. A przy tym chłopak był hardy czy to wobec urzędnika, czy nawet dziedzica i nie pozwalał uchybiać swej godności osobistej. Ojciec jego miał z tego powodu różne nieprzyjemności i zmartwienia. Jako starszej daty człowiek uważał sobie każdego wyższego stanem za coś lepszego: zniżał się, kłaniał nieraz bałwochwalczo, a „postępowe wybryki" syna nie były dla niego zrozumiałe. Wkońcu jednak rozmarzonemu zaciężnikowi sprzykrzyła się harówka pod panem, opuścił zaciąg i poszedł do pobliskiej cukrowni.

W 23-cim roku życia powołano go do wojska. W garnizonie w Szczecinie przebył ciężką szkołę rekrucką, a wolne od zajęć chwile spędzał w organizacjach polskich, których w Szczecinie było kilka. Po powrocie z wojska urządzał na wsi polskiej przedstawienia teatralne i zaczął próbować pióra, pisząc korespondencję do „Dziennika Kujawskiego" i do innych pism. Niestety w tej publicystyce nie wiele zyskał. Gdy za korespondencję, ogłoszoną w „Pracy" poznańskiej pewien obrażony dziedzic (Brodnicki z Kołudy) chciał mu wytoczyć proces, Moniak ulotnił się do Westfalii, gdzie nie zabawił zbyt długo. W powrotnej drodze do kraju, zatrzymawszy się w Berlinie, pozostał tam do 1914 roku.

W Berlinie, a raczej na jego przedmieściu Rixdorf, jako zwykły robotnik zaczął organizować przedstawienia amatorskie i układać sztuczki teatralne, które budziły dość żywe zainteresowanie.

Tamże napisał pierwszą swoją nowelkę p. t. „Sokół wychodźca", zamieszczoną drukiem w sprawozdaniu broszurowanym na dziesięciolecie „Sokoła" w Rixdorfie.

Od roku 1914 do 1918 był na wojnie jako „landssztumista". Zwiedził kawał świata. Poznał Węgry, Siedmiogród, Rumunię, a nawet i kawałek Serbii.

W powstaniu wielkopolskim brał udział przy oswobodzeniu Inowrocławia i w bojach okolicznych. Od roku 1920 przebywał w Bydgoszczy. Pracował jako urzędniczek na kolei państwowej. I tu na dobre rozwinął swoją działalność literacką, zamieszczając w pomorskich i wielkoplskich dziennikach i periodykach wesołe gawędy, felietoniki i nowele.

Za działalność społeczną" odznaczony został bronzowym Krzyżem Zasługi, a z sześćdziesiątym rokiem życia „przeszedł" w stan spoczynku, otrzymując siedemdziesiąt złotych emerytury.

Mając teraz dużo wolnego czasu, zabrał się Marcinkowski rączo do pracy literackiej. Oprócz kilku nowel i obrazków z ziemi kujawskiej, umieszczanych w „Piaście" i „Wiciach Wielkopolskich" napisał gwarą powieść z życia wsi kujawskiej p. t. „Na wyłomie". Dzieło to, przez znawców uznane za bardzo dobre i zakwalifikowane do druku, nie ujrzy nigdy światła dziennego, gdyż zostało w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu przez okupanta zniszczone. Marcinkowski napisał także kilka sztuk teatralnych. Jedna z nich p. t. „Powstanie Wielkopolskie" wyróżniona została na konkursie Związku Tow. Teatr. Lud. w Poznaniu.

Czasy okupacji przeżył Marcinkowski w Bydgoszczy, gdzie siedział jak przysłowiowa mysz pod miotłą. Gdy wyrzucono go z mieszkania, przeniósł się wraz z rodziną do ciasnej kuchenki na poddaszu. Na dobitkę wzmogła się choroba żony, która przeszło dwa lata nie opuszczała łóżka, a wreszcie zmarła. W roku 42 stracił syna i to go dotknęło boleśnie.

Z publikowanego dorobku „Marcina z Kujaw" (ulubiony pseudonim Marcinkowskiego) wymienić wypada nowele: „Bez Nagrody", „Na Kujawach grzmią skrzypice", Virtuti Militari", „Stary Wach", „Chałupa" legendę „Łzy starego Ducha" i gawędy: „Święconka", „Rezurekcja", „Dyngus", — „Niedwabno chorągiewka", „Wieńcowe", „Frycowe", „Gwiazdor", „W Zielone Świątki", „Tragedia Panny Józi", „Nad mogiłą syna", komedię w jednym akcie „Kto się czubi, ten się lubi".

Okupacja zniszczyła gotowe do druku prace Marcinkowskiego, a między nimi powieść „Na wyłomie", z której pozwalamy sobie zacytować ocalały fragment p. t. „Zdawiny".

---

*) Starego Marcina uwiecznił w noweli „Virtuti Militari" — „Piast" dod. do „Dzien. Kujawskiego".

**) W kilku opowiadaniach przedstawił tę postać pod przezwiskiem Starego Kija.

Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś? *)

JÓZEF SABURA (Gdynia):

Odpowiedź naprawdę trudna, jeśli się zważy różnorodność typu człowieka wsi, począwszy od urodzonych intelektualistów, czy smakoszów słowa pisanego, skończywszy na tych, którym czasem książka przypadkowo wpadnie w rękę. Mamy miejscami czytelników wybrednych, odrzucających wszelką tandetę i czytelników sensacji, kalendarzy, i piosenek religijnych. Mamy różne dzielnice Polski, objawiające większą lub mniejszą szkołę do czytania. Pierwsze będą okolice zamożniejsze, posiadające gęstą sieć komunikacyjną połączone ze światem tą siecią i okolice zapadłe.

Jedno jest pewne, wieś potrzebuje powieści wielkiej. Powieści na miarę „Trylogii" Sienkiewicza, powieści traktującej o wsi, o człowieku wsi i ziemi. Wieś człowiek wsi i ziemia to jedno. Jak nie można pomyśleć o wsi, która nie uprawia ziemi, tak ziemia nie uprawiana przez człowieka wsi nie będzie ziemią. Będzie interesem, jak to jest w Ameryce. Jeżeli człowiek wsi ucieka do miasta, to tylko z tego powodu, że za swoją pracę ma lepsze wynagrodzenie, ale po poznaniu stosunków w mieście czy fabryce chętnie wróciłby i wzdycha do ziemi do ostatka. Słyszałem chłopaków czy dziewczęta mówiących, że oni nie chcą takiej lekkiej roboty, wolą pracę w polu, choć cięższą. Ona daje zdrowie, wolny umysł, prosty i szczery. Ziemia uczy sprawiedliwości. Pracując na niej poznaje się wartość i smak zapracowanego czarnego chleba.

W tym miejscu przychodzą mi na myśl Knuta Hamsuna „Błogosławieństwo ziemi" i powieść z terenu Chin: „Błogosławiona ziemia" (Buck). Tylko, że nasza powieść o wsi musi obejmować szersze zagadnienia i różnorodne.

Powieść dla wsi musi być wielka, pisana sercem, przez człowieka, który ukochał wieś i wszystko, co w niej dobre, poświęci się cały dla jej dobra. Człowiek ten to urodzony na wsi, który widział każdą rzecz, każdy kąt spraw wsi, w którym działo się dobrze i źle; który cierpiał wraz z ludźmi niedostatek.... Może to jakiś znajda czy pastuch biegający za krowami, a może spakował już węzełek i poszedł do miasta po naukę.

Wieś do niedawna kopciuszek, zepchnięty do tej roli dlatego, że silnym była taką potrzebna, a nie dlatego by z urodzenia była kopciuszkiem. Ten kopciuszek potrafi jednak przystroić się w królewską szatę. Najgorsze jednak przeszło. Na wieś przyszedł czas, zrozumiałe dlaczego była kopciuszkiem, a teraz ledwo zapragnęła, przestała nim być.

Noc trwała do 1945 roku. Skończyła się. Nie w manifestach, odezwach, ale naprawdę, w rzeczywistości i niesie ze sobą równość i braterstwo.

Ludzie, co wyszli spod gruzów zwalonego domu, oczy gniecione ciężarem i utkwione w ziemi podnieśli w górę, strzepnęli łachmany, co skrywały ich ciała.

Zabierają się do roboty do usuwania gruzów. Gruz niepotrzebny wyrówna doły. Na tem miejscu postawimy gmach na nowych fundamentach, jakiego przed tym nie było. Ale nie wszystko między gruzami jest do wyrzucenia.

Tworząc przyszłość nie możemy odrzucić przeszłości tego wszystkiego, co powstało w tamtych czasach co stworzyło naszą historię. Byłoby to nieroztropne trwonienie doświadczeń wartości i pamiątek, gromadzonych z takim trudem do dzisiejszego dnia. Tymi klejnotami musimy się opiekować i wskazywać potomności na wartości ich. Te, które są nam drogie nasze, do których czujemy jakieś przyciąganie, braterstwo, rzewność jakąś na ich widok lub wspomnienie. Nawet z tych, które były złe, szkodliwe musimy korzystać — służą jako nauka na przyszłość.

Pisząc w dalszym ciągu powieść, dałbym jej trzy części.

Część pierwsza: Tradycja wiejska i historia wsi od jej najwcześniejczych początków z uwzględnieniem opisów czy szczegółów, które spotykamy jeszcze dziś. Jakimi drogami dochodzi wieś do podniesienia, jakie trudności ma. Historia wszystkich procesów, jakie się w niej rozgrywają. Każda wieś w podaniu ustnym może nawet w zapiskach ma swoje początki. Historię tę ma jedna wieś bogatszą, druga mniej bogatą. Każdy jednak mieszkaniec swej wsi, kocha swoją wieś za to właśnie, jaką ma, bo to jest jego wieś. W każdej wsi mamy rody, które były jakby jej patriarchami, czują się jakby wodzami gromady — mają swój honor, swoje czyny którymi się chlubią, które znają z tradycji. Ta historia wsi to jedno kółeczko w historii Polski. Ile tych wsi, tyle tych kółeczek, jedne za drugie zazębiają się tworząc historię Polski. Niektóre wsie sięgają swemi początkami czasów przedhistorycznych, jak na to wskazują zapiski. Chciałbym mieć obraz takiej wsi, przypuśćmy z tamtych dawnych czasów, czy średniowiecznych. Jaki był ustrój takiej wsi, jak się rządziła, zwyczaje, obyczaje, strój. Może wieś miała jakąś tradycję. Czemś się odznaczyła, jakiś przywilej. Jakiemi oczami patrzyła wieś na dwór, gród. Zatrudnienie w każdej porze roku dnia, a potem, jeśli idzie o wieś późniejszą. Jak reagowała na wystąpienie ludzi, których los ją obchodził, co myślała o tym, jak się ustosunkowywała. Potem przychodzi okres Kościuszki, potem powstania, „wiosna ludów". Pierwsi działacze wiejscy, pierwsze pisma. To znaczy, jak to wszystko wyglądało w okresie wsi pańszczyźnianej, potem w okresie pierwszych jaskółek zwiastujących nową erę dla wsi.

Część druga: Na wieś docierają pisma, coraz więcej jednostek zainteresowanych w ruchu chłopskim. Pojawiają się pierwsi pisarze wiejscy, samoucy. Potem wieś w wojnie światowej i jaki ona miała wpływ na wieś. A po wojnie przedstawiłbym wieś na tle stosunków po wojnie światowej. Rozwój spółdzielczości, bibliotek, związków młodzieżowych. Ich wpływów na życie wsi. Rolnictwo. Jego rozwój i porównanie do czasów przedwojennych. Hodowla. Zdrowotność (higiena). A potem wieś w czasie okupacji. Działalność konspiracyjna.

Część trzecia: Ta część ewentualnie może mieć początek w pierwszych dniach okupacji, historia wsi okupowanej. Potem 1945 rok, wolność, zasadnicze przemiany w ustroju wsi parcelacja i jej drogi na przyszłość jaśniejszą. Plany. Od samego początku wprowadzenia w akcję osoby przodownicze wsi i różne.

Do opowieści wplecione są miejscowe podania, legendy, zwyczaje i tyle innych momentów, wesele, chrzciny, pogrzeb, strój tańce, gwara, śpiew, muzyka, takie momenty jak: orka, sianokosy, żniwa, kopanie ziemniaków — musi być wieś kwitnąca znojem, dojrzała latem i syta jesienią, wieś śpiąca zimą, budzona skrzypem studzien, pianiem kogutów, żyjąca w dzień pracą codzienną, spędzająca wieczór w izbie na opowieści, przędzeniu lnu, wełny, skubaniu pierza. Wieś patrząca na świat i sprawy otaczające ją oczami dziecka, parobczaka, dojrzałego i starca. Wieś strojąca się w odpust do kościoła, idąca w kompanii na Kalwarię, do Częstochowy. Wieś mówiąca dźwiękiem dzwonów rezurekcyjnych i kołatkami wielkiego postu — wieś krocząca w procesji Bożego Ciała i wieś zaścielająca stół sianem, idąca na pasterkę, śpiewająca kolędy. W powieści musi być to wszystko, co składa się na życie wsi. A więc i wieś wyrywającą się za swoje granice z ciekawości, za chlebem na emigrację.

To byłaby powieść o wsi napisana z sercem i odczuciem człowieka przyrody i tego wszystkiego, co stworzyło wieś i człowieka wsi.

Pisząc o powieści dla wsi nie mogę pominąć milczeniem „Młodego pokolenia chłopów" Józefa Chałasińskiego. W chwili gdy czytałem je pierwszy raz, zdawało mi się, że czytam najpiękniejszą powieść. Częściowo może dlatego, że ja sam byłem w niej zainteresowany, czułem się niby drobnym współtwórcą — cegiełką w jej budowie. Ale tylko częściowo. Inna jest przyczyna, że czytałem ją z zapartym tchem. Bo czuję, że każdego człowieka czytającego tą książkę uderzy wielka żywotność i siła młodego pokolenia, pozatem prostota, szczerość, prawda... Tem większa, że nie pisana uczenie, ale prosto, nie pozbawiona jednak myśli głębokiej i wnikliwości, radzenia sobie z rozwiązaniem najtrudniejszych spraw.

Wiem, że „Młode pokolenie" nie może zaspokoić wszystkich pragnień. Niektóre fragmenty w życiorysach powstarzają się prawie w każdym, te same. Z tego powodu po przeczytaniu kilkunastu dla mało cierpliwego, książka ta wydaje się nudna. Dla szarego człowieka za uczona. Jednak wzorując się na „Młodym pokoleniu" myślę o powieści, której autorem jest wielu ludzi — powieści składającej się z niezliczonej ilości fragmentów czy opowiadania, niby drobnych, poruszających ważne problemy. Niby odrębne, ale gdy będzie ich wielka ilość dadzą nam obraz życia. I to obraz prawdziwy, taki jaki jest prosty bez osłonek, bez upiększeń, bez złudzeń, choć z dodatkiem fantazji zdrowej czy humoru. Obraz życia będzie bogaty w szczegóły, widziany z dołu, z góry... z różnych wysokości, oczyma ludzi stojących na różnych stopniach cywilizacji. Będziemy tu mieć kąt patrzenia dziecka, starszego i starca — prostego i uczonego. Niech w nią włożą swój wkład prości, uczeni, mali, średni i wielcy.

Wieś nie lubi zasklepiać się w sobie, zwłaszcza ta nowa. Jak różnorodne są czynności rolnika, tak różnorodny jest świat jego zainteresowań. Chce wiedzieć wszystko, co się dzieje na świecie dziś, co się dawniej działo u nas i zagranicą. Chce znać dzieje starożytne.

Chcą także powieści obyczajowej z czasów historycznych naszego państwa, coś w rodzaju powieści opisującej życie mieszczan (Krzysko Magnus). Wiem, że wieś w tych czasach była jakby za kulisami życia. To co się działo na scenie to nie była wieś. Jednak nie można mówić, żeby wieś wtedy nie żyła. Przecież chłop jako sługa pana jeździł z nim po obcych krajach, bywał na dworach, zaglądał do salonów, jeździł na wojnę i uczestniczył we wszystkich walkach z tego tytułu. Nowiny ze świata przynosił przecież do domu pod strzechę. Co wtedy myślał? Nie będzie to życie samej tylko wsi, będzie tu i życie dworu. Jednak przez takie zestawienie wydobędziemy z mroku na światło życie wsi. Dostaniemy jego obraz uwypuklony.

W rzędzie pierwszym powieści umieściłbym powieść o wielkich ludziach wsi. Na czym polegała ich wielkość. Czyny ich wydobyłbym na światło naprawiając krzywdę, którą wyrządzono im przez milczenie o nich, dlatego że byli niskiego stanu. Wykazałbym ich wielkość w oświetleniu czasów obecnych i czasów, w których oni żyli. Na czym polegała ta wielkość. Z jakim trudem musieli piąć się zanim dopuszczono ich do głosu. Nie pozwolono im jednak działać. Nie sztuką jest być wielkim, gdy ma się wszystkie dane ku temu, ale powolutku własnym wysiłkiem zdobywać stopień po stopniu, wraz z rzucaniem kłód pod nogi.

Chciałbym, żeby w powieści pokazane było bohaterstwo w życiu codziennym, w tych drobnych epizodach, z jakich składa się każdy dzień. A z dni życie. Żeby wykazane było bohaterstwo i zaparcie się tych ludzi, niby nic nie znaczących. Bohaterstwo matki pozbawionej głowy domu z dziećmi, pracującej nad siły, a nie ustępującej, nie uczonej. Skad się to wzięło, tyle hartu. Bohaterstwo już od małego dziecka, wyrzekającej się od samej młodości wszystkich zabawek i uciech z powodu tego, że przynależnym się było do warstwy upośledzonej, biednej.

Potem chciałbym powieści o spółdzielczości.

Tam, gdzie rozwinęła się spółdzielczość rozwinęła się wieś gospodarczo, kulturalnie i podniósł się dobrobyt. Spółdzielczość to wyższy stan kultury w ustroju społecznym. W ustroju tym jednostka zatraciła swoje samolubstwo, przestaje żyć w pojedynkę, zapragnęła nie osobistej dobroci, ale szerszej, gromadzkiej. Dopóki każdy myślał o sobie nie widać było nigdzie poprawy. Uwidoczniła się poprawa, gdy zaczęła myśleć gromadnie.

Tu napisałbym powieść o ks. Blizińskim i Liskowie. Jak się to stało zanim Liskow z tego, jakim był, stał się takim, jakim jest. A czy jeden Liskow u nas? Czy jeden działacz społeczny? Są, w każdej wsi może kilku.

Po tym chciałbym powieści regionalnej. Powstałej w pewnej dzielnicy, czy okolicy, która jest charakterystyczna tak, że charakter okolicy, wyciska swoje piętno na ludziach (charakterze), stroju, tańcu, sztuce ozdobniczej Np. powieść powstała na tle Tatr z specjalnym typem człowieka. Czy powstała na stokach gór Świętokrzyskich, czy bagien Polesia (tylko nie patrząca oczami Rodziewiczówny o Poleszuku). Czy powieść z równin Mazowieckich — jezior Szwajcarii Kaszubskiej i brzegu Bałtyku.

Dla wsi przydałyby się powieści podróżnicze, egzotyczne z opisem przyrody, ludzi, ich zwyczajów, obrzędów, wierzeń.

Powieści z dziedziny odkryć geograficznych, z dziedziny wynalazków o wielkich uczonych.

Będzie to miejsce i na fantazje (w rodzaju „Ne Srebrnym Globie" — Żuławskiego czy innego).

Poza tym radbym widzieć księgę humoru chłopskiego, zdrowego, ale nie jako zbiór wiców, ale książkę humorystyczną.

Miejsce do popisu mieć będzie i bajka dla dzieci.

Na koniec chciałbym jeszcze parę słów nie koniecznie tyczących konkursu, Wierzę, że w czasie dzisiejszym, gdy dostęp do uczelni został otworzony, młodzież wiejska garnie się do nauki. Może nie dziś, ale może z tej młodzieży, która zaczyna dzisiaj uczyć się, a może dopiero z grona ich następców wyjdą ludzie, którzy napiszą powieść dla wsi. W sercu niejednego chłopaka marnującego się na wsi drzemie geniusz. A ci geniusze przyjdą nie tylko z dziedziny powieści, ale z każdego odcinka życia. Przyjdą i rzeźbiarze, malarze, poeci, muzycy, wynalazcy. Zdaje mi się, że oglądam Ateny i trybuny mówców, place zebrań. Każdy może z niego korzystać, powiedzieć swoje, równą część dostaje. I każdy pracuje w miarę sił swoich. Wiem, że warstwa chłopska jest jak gleba żyzna, która długo czekała na ziarno. Przez tyle wieków nagromadzały się w niej takie siły, o jakich newt sami nie mamy pojęcia. Gdy ziemię uprawi się, rzuci ziarno możemy czekać spokojnie na plon. Warstwa chłopska jak ziemia oddaje stokrotnie, gdy widzi, że gospodarz troszczy się i dba o nią. Zresztą sama będzie gospodarzem i nie dopuści, by mówiono o niej jako o złym gospodarzu.

*) Wypowiedzi uczestników naszego konkursu drukowane były w n-rach: 1, 2. 3, 4, 5, 7 i 8 „Wsi".

STEFANIA GŁUSZAK (Tarnowskie):

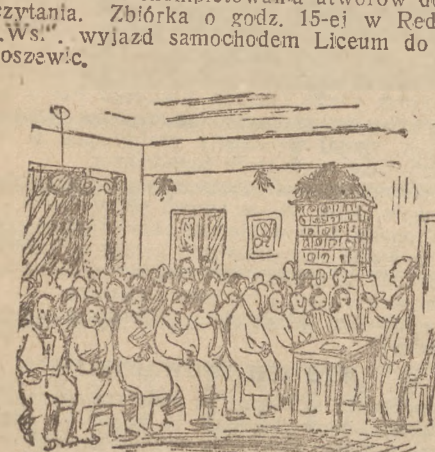
Czytając gazetę „Wieś" dowiedziałam się o konkursie i postanowiłam posłać Ci moje uwagi na ten temat. Otóż na wsi bardzo mało się czyta, a to z różnych powodów. Najważniejszym z nich jest brak pism, a drugim brak czasu na czytanie. W powszednie dnie zawsze jest jakaś robota, a wieczorem nie opłaci się siedzieć i czytać, bo światło bardzo drogie. W niedzielę i święta jest inaczej. Rano idzie się do kościoła, potem gotuje się obiad, a po obiedzie jest już wolny czas i można czytać. Tatusiom nie chce się czytać książek, najwyżej gazetę. Wolą iść do jakiegoś kuma, pogadać o gospodarce, dowiedzieć się, co we świecie słychać i pokurzyć bakonu. Mamusie też wolne chwile wykorzystują na pogawędkach z kumoszkami. To też na wsi najwięcej czyta młodzież. A więc pisząc powieść dla wsi, należałoby ją napisać dla młodzieży. Oczywiście taką powieść mogą czytać i starsi. Zresztą my młodzi jesteśmy ważniejsi, bo my stanowimy przyszłość wsi. Teraz pytanie, jaką powinna być ta powieść. Otóż bardzo ładne są książki romanse rozgrywające się w bogatych rodzinach i innych krajach, ale dla nas najbardziej odpowiednią byłaby powieść oparta na podłożu swojskim wiejskim. Bo czy tylko bogaci kochają się? Przecie i na wsi kochają się, a ich miłość może nawet jest piękniejsza i szlachetniejsza. A powieść dla młodzieży jest najbardziej zajmującą książką. I miejscem rozgrywania się akcji powinna być wieś.

Czy może być ładniejsze miejsce, jak wieś, a do tego np. w lecie. Bohaterką tej powieści zamiast hrabiny niech będzie skromna i biedna dziewczyna wiejska, albo jakiś Jaś czy Waluś, czy inny chłopak wiejski. Akcja trochę niech będzie przez autora zmyślona, byle tylko nie przesadnie. Dwoje ludzi wiejskich kocha się wzajemnie. A więc zapoznanie, schadzki miłosne, przeszkody do zawarcia małżeństwa, sprzeciw rodziców; ktoś umyślnie potajemnie szkodzi, jakaś kradzież, nieszczęście, pożar lub coś podobnego, co się we wsi zdarza, jakaś rywalizacja, zazdrość, zarozumiałość, dziewczyna udaje panią z miasta. Należałoby wprowadzić różne typy ludzi wiejskich, jak starych, którzy widzą zło we wszystkim, nawet w tym, co jest dobre; innych zaradnych o zmyśle organizacyjnym, myślących nie tylko o dobru swoim, ale i społecznym; jaką babę plotkarkę, cygankę z jej sztuką wróżenia, u której się radzi dziewczyna. Powieść ta powinna być dobrze przemyślana, aby czytało się ją z przyjemnością i zainteresowaniem. A więc jakieś wypadki, trochę tajemniczości. Co do czasu, to ta sprawa zależy już od autora. Może być okres przedwojenny, współczesny, lecz z małym nawiązaniem do przeszłości, jak się dawniej przedstawiała sprawa chłopów. Powieść ta powinna opisywać przede wszystkim życie wsi tylko nie bardzo rozwlekłe, boby nudziła czytelników. Nie trzeba pominąć opisu przyrody, życia, nastrojów na wiosnę, i w lecie, szczególnie takiego okresu, jak maj ze swoimi pięknymi wieczorami, starodawny zwyczaj palenia sobótek. Lecz nie ogólnie, a szczegółowo, wszystko to przeplatając nićmi miłości, kochania się młodych serc. Akcja powinna być dosyć ciekawa, zagmatwana, ale grunt, żeby skończyła się ładnie osiągnięciem szczęścia przez bohaterów. Powieść ta powinna zawierać coś pouczającego, aby czytelnicy mogli odnieść z niej jakąś naukę. Szczególnie co do żenienia się. Ile to zdarza się wypadków, że żenią się tylko pod wpływem nalegań rodziców, którzy szczęście widzą tylko w morgolach. Wreszcie powinna być poruszona sprawa spółdzielczości i życia organizacyjnego. Znowu niech pionierzy spółdzielczości i życia organizacyjnego spotkają się z wielkimi trudnościami, a nawet i kłopotami. Bo przecież większa część chłopów, to jeszcze ludzie starej daty, którzy o niczym nie chcą słyszeć, co nowe, twierdząc, że dawniej tego nie było, a wszelkie spółdzielnie, to tylko wymysł panów, którzy z tego czerpią zyski naciągając głupiego chłopa. To jest słuszne, bo ludzie w spółdzielni mają często tylko dobro własne na celu, a nie ogółu. Co do języka w powieści, to powinien być jasny i ścisły, nietrudny do czytania, dostosowany do wykształcenia ludzi na wsi. Lecz nie gwara, bo gwara nie jest wszędzie jednakowa i byłoby ją trudno czytać. Na poetyczność nie należy się wysilać, bo my ludzie na wsi nie doceniamy tyle poetyczności, co piękną treść. Autorem niech będzie, kto chce, tylko żeby ładnie napisał. Najlepiej, żeby autor znał dobrze wieś, jej życie, zwyczaje, a przede wszystkim kochał ją, a więc ten kto pochodzi ze wsi.

LITERACI CHŁOPSCY W „TERENIE"

DNIA 1 lutego br. odbył się w Bratoszewicach, pow. Brzeziny w Liceum Roln-Hodowlanym wieczór literacki, zorganizowany przez Oddział Wiejski Zw. Zaw. Literatów Polskich. Podana przez kol. Cz. Gardę myśl takiego wieczoru, w którym wzięliby również udział autorzy, została należycie zrozumiana i doceniona zarówno przez członków O. W. Zw. Z. L. P., jak też Dyrekcję i młodzież Liceum oraz miejscowe społeczeństwo. Organizację imprezy podjęto z dużym zapałem.

Redaktor Stefan Lichański objął szefostwo ekipy i podjął się jednocześnie wygłoszenia referatu oraz skompletowania utworów do odczytania. Zbiórka o godz. 15-ej w Redakcji „Wsi", wyjazd samochodem Liceum do Bratoszewic.



W pięknej sali Liceum zgromadziło się blisko dwieście osób — nauczycielstwo, starsza młodzież szkolna i nieszkolna, pracownicy majątku szkolnego i gospodarze, gospodynie ze wsi. Ze strony literatów w wieczorze wzięli udział: Stefan Lichański, Anna Kamieńska, Teodor Goździkiewicz, Zygmunt Sierp, Tadeusz Papier i Czesław Schabowski, którzy odczytali własne prace, utwory Józefa Andrzeja Frasika, Stanisława Nędzy Kubińca, Pawła Kubisza, Edwarda Marca, Józefa Ozgi Michalskiego, Jana Bolesława Ożoga, Stanisława Piętaka, Stanisława Skonecznego, Piotra Ziarnika czytali: Zygmunt Kałużyński, Halina Sobierajska, Leonard Sobierajski i niżej podpisany.

Program był tak pomyślany, że zaczepiał częściowo o przedwojenną twórczość wymienionych pisarzy, przechodził poprzez wojenne wypowiedzi, w których brzmiał bunt i walka z okrutnym najeźdźcą, by potem wsłuchać się w rytm pracy już w wyzwolonej ojczyźnie. Nie sposób przytoczyć tu wszystkich prezentowanych utworów. Wiele spośród nich było drukowanych w tygodniku „Wieś", względnie w tych zbiorkach, jakie wydał Oddział Wiejski Zw. Z. L. P.

Przed 1939 rokiem urządzano również podobne występy pisarzy ludowych na wsi (Burek, Młodożeniec, Skuza i inni), ale były to wówczas wypadki raczej sporadyczne, organizowane na marginesie bodajże pracy społeczno - politycznej, która skupiała postępowy element chłopski. Nadmienić trzeba, że tego rodzaju imprezy śledził skwapliwie granatowy policjant i nierzadko spełniał ciche polecenie starosty i rozpędzał zebranie. Chłop nie miał możliwości swobodnego zetknięcia się z pisarzem swojej klasy, by posłuchać o czym pisze, jakie ideały światu głosi, jakimi drogami wiedzie ku jasnym jutrom? Pisarz chłopski, ludowy, który głęboko odczuwał i przeżywał krzywdę brata - chłopa miał zamkniętą drogę porozumienia się z nim i ukazania ukrzywdzonemu światła nadziei zmiany losu na lepsze.

Dziś nic nie stoi na przeszkodzie wzajemnej wymianie myśli i uczuć, natchnień i wzruszeń pisarza z czytelnikiem. Nic i nikt nie przeciwstawia się ich porozumiewaniu się dla dobra jednego i drugiego, dla pożytku ogólnonarodowego, a pewnie i ogólnoludzkiego. Przeciwnie, udostępniono im obu kulturalne wnętrza pałaców b. obszarników i kapitalistów, gdzie się mogą zbierać, swobodnie radzić i prezentować swe utwory.

A czyż nie jest to radosne zjawisko, że oto chłopi wykazują zainteresowanie literaturą, pisarzami, że uczestniczą w wieczorach literackich, że się przez to uwznioślają, podnoszą swą godność i dumę klasową, rozszerzają horyzonty swych wiadomości, nastawiają swe myśli i wolę na tory twórczego działania.

Powie ktoś z malkontentów, że to jeszcze za mało, że nie wszyscy biorą w tym udział, że jeszcze wiele na wsi jest zgorszenia itd. Istotnie, nie przeczymy, że tak się niestety jeszcze dzieje, ale wina i po naszej stronie, że wciąż za mało interesujemy się tymi zagadnieniami, że nie spieszymy wsi na pomoc w dźwiganiu się z koszmaru okupacji i klęski wojny i dlatego każdym takim przejawem pozytywnego działania trudno się nie cieszyć, że tego rodzaju imprezy literackie już się odbywają, że są ludzie spośród pisarzy, literatów, poetów, krytyków literackich, którzy te sprawy doskonale pojmują i doceniają, że nie szczędzą swego trudu, że ochotnie spieszą podzielić się swoimi zdobyczami na polu literatury, piśmiennictwa, wynikami, osiągnięciami. Dzieje się to pewnie na skutek owej filozoficznej mądrości społecznej, że radość podzielona z przyjacielem jest zdwojoną radością, a niewątpliwie wielu przyjaciół mają pisarze ludowi wśród ludności wiejskiej. Ma tu również zastosowanie Mickiewiczowskie powiedzenie o słodkości nektaru żywota dzielonym z bliźnimi. Społeczny aspekt tego rodzaju działania podkreślił wyraźnie w swoim referacie Red. S. Lichański i te trudności, jakie hamowały podobną działalność literatów przed wojną.

Jeśli dziś narzekamy, biadamy nad wieloma brakami życia społecznego na wsi, czy w mieście to winę składamy na barbarzyństwa hitleryzmu, który deprawował dusze polskie. Dziś jako środek zaradczy przeciw takiemu stanowi rzeczy musimy przyjąć wzmożenie oświaty wśród najszerszych warstw społeczeństwa i stanąć do tej pracy winni wszyscy. Zasilić biblioteki oświatowe w książki i czasopisma, rozesłać w teren specjalnie wyszkolonych instruktorów oświatowych, teatralnych, chórów, muzyki — oto drogi kierowania, sublimowania złych nawyków, zwłaszcza młodego pokolenia w łożyska oświatowego działania.

Długa to i ciężka droga, wymagająca wiele wysiłku i być może czynnik społeczny tu nie wystarczy, w pomoc muszą przyjść sfery rządowe i to zarówno na drodze finansowej, jak i ustawowej.

Taka pomoc będzie może najważniejszą bronią przeciw złu, ale dla jej przyjęcia muszą zaistnieć odpowiednie okoliczności. Wieś oddolnie musi poczuć pragnienie tego rodzaju pokarmu duchowego, jaki niesie ze sobą dobra książka, żywe słowo jej autora, oświatowca i wcześniejsze przygotowanie roli pod szeroki siew oświatowy widzi się tu konieczny. A kiedyż zapragnie, jeśli o tym nie będzie wiedział, jeśli nie przyjdzie wcześniej ktoś z bliskich duchem i bliźnich i nie powie mu o tym, jakim dobrodziejstwem jest książka, oświata, co daje nauka, wykształcenia fachowe.

Musi najpierw nastąpić rozbudzenie środowiska takimi i innymi wystąpieniami, zebraniami, musi się je doprowadzić do takiego stanu pragnienia, że świadomie, ze zrozumieniem własnych potrzeb i dążeń zacznie środowisko samodzielnie zdobywać środki do zaspokojenia swych pragnień kulturowych, a wtedy nowo wydana książka, impreza literacka, teatralna w objazdowym teatrze w miasteczku, odczyt, wieczór autorski pisarza spotka się z należytym zrozumieniem, będzie on szedł po linii zaspokajania gorących potrzeb i pragnień środowiska.

Dr Marian Wachowski w jednym ze swoich artykułów drukowanych w miesięczniku „Oświata Rolnicza" nr 5 z 1946 r. porusza ciekawe zagadnienia t.zw. „wrastania w kulturę otoczenia", co w odniesieniu do zawodu rolniczego przewyższało nieraz wykształcenie zawodowe szkolne.

Takie właśnie literackie imprezy, jaka O. W. Zw. Z. L. P. zorganizował w Bratoszewicach przyczyniają się w dużej mierze do wytwarzania i same wybitnie wpływają na powstawanie kulturalnej atmosfery otoczenia, która w dalszej konsekwencji będzie przygotowywała ludzi, będących w zasięgu jej działania do należytego rozumienia i odczuwania dóbr kulturalnych, a być może w przyszłości i do ich bogacenia.

W omawianym wieczorze literackim wzięła udział w charakterze słuchaczy miejscowa młodzież licealna, przyszli nauczyciele szkół rolniczych, działacze i instruktorzy rolni. Stało się to po myśli zarówno Dyrekcji Zakładu, jak i Organizatorów, bowiem rozumieją wszyscy, że rolnik najbliższej przyszłości musi być rolnikiem wykształconym zawodowo, a jak twierdzą zarówno teoretycy jak i praktycy musi on mieć nie tylko „ekonomiczne i techniczne punkty widzenia" na otaczające go zjawiska w świecie, ale tam gdzie trzeba umieć myśleć również „kategoriami humanistycznymi". Musi on być zorientowany i w pedagogice i historii i socjologii wsi, spółdzielczości i nie obce winny mu być również zagadnienia społeczno - oświatowe, kulturowe itd.

Kiedy więc w kilka dni po tym wieczorze literackim zapytałem zespół uczniowski licealistów — Czy takie imprezy literackie są potrzebne? — nie było żadnego, który by zakwestionował ich celowość i potrzebę, przeciwnie, wyrażali pragnienie urządzania podobnych w swoich środowiskach wiejskich, widząc w nich skuteczny oręż przeciw zacofaniu, ciemnocie i bierności, upatrując w imprezach literackich czynnik budzenia zamiłowania do twórczej pracy nad sobą, do dalszego kształcenia i samokształcenia się, do czytelnictwa i oświaty w ogóle. Wieczór ten sprawiał im i tę szczególną radość, że czuli się mocniejsi na duchu, byli dumni ze swego pochodzenia. Pisarze, synowie wsi, którzy swoją pracą i zdolnościami doszli do poważnych osiągnięć w literaturze, podsuwali im podświadomie sugestie, że i ich wysiłek może wysunąć ich na zaszczytny szczebel w społeczeństwie.

Na pytanie — Czy wolą utwory pisane gwarą, czy językiem literackim? — opowiadali się raczej przeciw gwarze, twierdząc, że ludzie na wsi upatrują w gwarze zacofanie, przywodzi ona na myśl wspomnienia ciężkich czasów pańszczyźnianych, tkwiących dotąd w tradycji wiejskiej. Przez znajomość języka literackiego wieś zbliża się bardziej do warstw oświeconych, co podnosi jej ambicje dźwigania się kulturalnego w zwyż, wyzbywania się kompleksu niższości. Miała młodzież jeszcze zastrzeżenia w odniesieniu do całości omawianego wieczoru, że był za obszerny, że referat był za trudny, że nie każdy odczytywany utwór był odpowiednio podany, a przez to tracił wiele ze swego piękna, a przez to i rozumienie jego i odczuwanie napotykało u słuchaczy na pewne trudności.

Ciekawy jest również i ten fakt, że młodzież nie zacieśnia swych zainteresowań do literatury czy pisarzy li tylko wiejskiego pochodzenia, ale pragnęliby również zetknąć się i poznać, zobaczyć, usłyszeć pisarzy i poetów robotniczych, których twórczość obejmuje tematykę miejską, robotniczą.

Mając powyższe doświadczenia, będziemy w dalszym ciągu inspirowali i inicjowali podobne wieczory w innych miejscowościach w szkołach rolniczych, w uniwersytetach ludowych, mając na względzie ich dużą wartość w kultywowaniu i szerzeniu kultury w szerokich masach społeczeństwa.

Oddział Wiejski Zw. Z. L. P. spełnia swoją gotowością służenia takim celom doniosłą rolę krzewiciela oświaty i kultury i społeczeństwo wiejskie pamiętać będzie z wdzięcznością o tych, którzy nie zacieśniają się do biurek i redakcyjnych gabinetów, ale idą w teren jak pionierzy, działacze, którzy chcą mieć objekt swego oddziaływania przed oczyma, pragną z nim bezpośrednio mówić, wczuwać się w jego potrzeby, pragnienia i umieć potem wiązać tamte spostrzeżenia z własnymi koncepcjami myślowymi. Taka współpraca i takie wzajemne współdziałanie przyniesie pożytek społeczeństwu polskiemu i polskiemu piśmiennictwu.



Piotr Greniuk.
Ilustr. St. Cieloch

DYSKUSJA O POEZJI DLA DZIECI

Po raz pierwszy bodaj w publicystyce po wojnie poruszony przez Annę Kamieńską temat nowoczesnej poezji dla dzieci, pojętej jako teren na którym można zastosować zdobycze formalne liryki lat ostatnich (Nr 48 „Wsi": „O nową poezję dla dzieci"), okazał się wielopłaszczyznowym, i wywołał szerokie echa. W N-rze 3-cim „Wsi" drukowaliśmy uwagi F. Kirło-Nowaczyka, który eksperyment Kamieńskiej próbował wykorzystać na terenie szkolnym, odczytując dzieciom wiersz, przytoczony przez autorkę jako próba realizacyj nowej poezji; do redakcji naszej napływają utwory, powołujące się na wypowiedź autorki; „Życie szkoły", poświęcone problemom pedagogicznym, tak oto streszcza propozycje Kamieńskiej (Nr 11):

Wierszyki i prawdziwa poezja. Anna Kamieńska atakuje. Analizuje wierszyki dla dzieci i stwierdza, że cała ta wierszowa literatura nie przygotowuje do czytania i rozumienia współczesnej poezji. Jeśli opis przyrody, to banalna personifikacja miesięcy i pór roku, — jeśli przedmioty, to pewno gadające i tańczące. I ze słusznością nadmienia, że jest to sztuczne narzucanie dziecku obrazu świata, który nie jest ani światem dorosłych, ani światem dzieci. Ponieważ dopiero pierwsze zetknięcia się dziecka z literaturą żłobi formy wyobrażeń i pojęć, mogą to być formy nowe, bliższe poezji współczesnej. Sądzi, że poeci, pracujący dla dzieci, są zbyt bierni i nie czynią próby w kierunku uwspółcześniania poezji".

Dyskusja o powieści dla dzieci zbiegła się z dyskusją o „niezrozumialstwie" poezji awangardowej i innego typu współczesnej liryki; temat ten podjęli nasi korespondenci wiejscy, czerpiący swe doświadczenia z obserwacji. Jest charakterystyczne, że dla nich wszystkich istnieje problem poezji nowoczesnej, t. zn. zauważają olbrzymi opór przy przyjmowaniu tej twórczości przez odbiorcę wiejskiego; a jednak pomimo owych praktycznych zastrzeżeń, zgadzają się w zasadzie na wprowadzenie nowej poezji na wieś. Tak np. Kirło-Nowaczyk, który odczytując wiersz „nowoczesny" dzieciom osiągnął rezultat raczej negatywny, — przecież temat podejmuje pozytywnie i życzliwie dla tez autorki, — podobnie „Życie szkoły", pismo którego opór właśnie z punktu widzenia pedagogii powinien być najtwardszy, działają tu bowiem wielowiekowe, powiedzieć można — przyzwyczajenia szkolne, — popiera w pełni nowy program. Daje się to wytłumaczyć nietylko ambicją, by doprowadzić do chłopów najnowsze osiągnięcia kultury, ale także narastających wśród działaczy i nauczycieli przeświadczeniem, że produkcja owych „cioć ze Świerszczyka", znakomicie wykpiwanych przez Huszczę w jego humoreskach, jest zabytkiem epoki bardzo minionej, i istotnie dezorientuje młodego czytelnika i utrudnia mu w starszych latach porozumienie z aktualną literaturą, — a więc i ze współczesnością. „Świerszczyk" jest bastionem reakcji wychowawczej, jeśli idzie o kształcenie smaku dziecka. Problem ten, dotychczas dyskutowany tylko na platformie „nowej formy literackiej", ma jeszcze inne aspekty: pedagogiczny, na tym bowiem terenie twórczość literacka krzyżuje się i splata z praktyką wychowawczą tak ściśle, że oddzielnie przesądzić zagadnienia się nie uda, i aspekt społeczny, bowiem z punktu widzenia chłopskich ambicji klasowych pośład poetycki jakiego wzór przytacza Kamieńska dla ośmieszenia owych utworów, ma zabarwienie „szlacheckie" i „plebańskie" w tym znaczeniu, że dwa te ośrodki kształcenia wsi miały do niej specyficzny stosunek „poklepywania" kulturalnego; czy dziś dla dziecka chłopskiego owe wierszyki nie będą miały podwójnie przykrego wydźwięku, niby wspomnienie jałmużny kulturalnej z lat minionych? I jeszcze ważny problem: jaką książkę ma dziecko chłopskie dostać do ręki? Zagadnienie poruszone przez Kamieńską obfituje w odnogi; dyskusja ledwie została napoczęta.

J. sz.

Pierwsza polska książka na Zaolziu

Gustaw Przeczek: Serce na kolczastych drutach (wiersze z obozu koncentracyjnego Mauthausen — Gusen — Czeski Cieszyn) 1946 nakł. własnym — str. 71.

W kwietniowy dzień 1940 r. wśród wielu aresztowanych synów Śląska Zaolziańskiego znalazł się w ręku gestapo młody bystrzycki nauczyciel, 26-letni Gustaw Przeczek — z tych Przeczków co to z Orłowej czy Stonawy ród swój wywodzili i polskością wrośnięci byli w śląską glebę od pradawna. Golgota jego męki trwała równe 5 lat a jej etapem były Cieszyn, Sosnowiec, Dachau i Mauthausen — Gusen.

Przeżycia osobiste i zbiorowe tych czasów zamknął ten nowy zaolziański poeta w tomiku wierszy „Serce na kolczastych drutach". Dobrze, że ta pierwsza książka polska na Zaolziu, która ukazała się w ostatnią wigilię, nie jest żółciowym oskarżeniem i przekleciem minionych lat ofiarniczych, ale jest raczej zamknięciem tego okresu w radosnym odetchnięciu wolnością. Wiersze „napisane w najcięższych warunkach na łopacie lub bryle kamienia" — słowa Autora w Dosłowiu — doczekały się wyzwolenia by świadczyć i oskarżać"; nie aby wywoływać zgrzyty i nienawiść, ale aby spajać miłością na przekór ciemiężcom.

Całość podzielona jest na trzy części. W pierwszej, w otwartych, surowych wierszach opisuje poeta szarzyznę, brutalność i grozę życia obozowego, te dogorywające postacie i wiecznie głodne szkielety („O guzenowskim piekle" i „Głód").

„Każda baraka niby ciemna trumna,
A w niej śmierć zbiera niedojrzałe plony,
Gromadzi żniwo w bogate swe gumna,
·Żniwo męczeńskie a krwią ubroczone".

— — — — — — — —

„I tylko wiatr gra na twoich żebrach
Piosenkę nędzy mokrych rzęs".

Kiedy codzienną pieśnią jest umieranie, a dni rosną w kamienne sterty (piękny wiersz „Zespoleni"), jeden, drugi, czy dziesiąty postanawia żyć mocą ducha „o ojczyźniane oparty nadzieje". Czułe serce rwie się na północ.

„To matka woła, dębowy próg chaty,
Łany szerokie i żywiczne smreki".

Ale i wśród tego piekła obozowego znajdzie się jeszcze chwila ciszy w której można na skrzydłach duszy odwiedzić swój Beskid i dom rodzinny. Wtedy autor czuje się znowu dzieckiem co modli się słowami szczęścia. Kiedy uprzytomni sobie jednak, że w wielkich halach fabrycznych praca rąk skazańczych przynosi łzy, krew i śmierć niewinnych sumienie dyktuje mu słowa:

„Płonące widnokręgi wolny pochłonęły miłość.
A dobroć zastygła w obliczu twardych skał
granitu".

Nie traci nadziei że to się musi zmienić.

„Powrócą znowu takie noce od gwiazd
srebrnozłote
I serca miłością zespolą szczęśliwe godziny.
A w piersi zapalą na nowo tę wielką tęsknotę
Do tego, co piękne, co dobre, co z rąk Boga
płynie".

Tą chrześcijańską miłością i tym wyczekiwaniem spodziewanego szczęścia przepojona jest większość wierszy. Ulgę przynoszą mu szczerozłota jesień nasza, Zaduszki, padające płatki śniegu, Wigilia.

Ten, co w Gusen uczył się tworzyć „świat potężniejszy z łomów granitu" śnił o nowych dniach. Na kamiennych bryłach — jak sam pisze — a więcej jeszcze szeptanym kolędze wierszem, w lot się rozchodzącym, wieścił nową niepodległą pieśń, takiż czas i dzieje. Przyjdą takie dni, dni radosnego wyczekiwania na ojców, mężów, braci narzeczonych, co do Eufratu, z nad Nilu i dalszych jeszcze stron schodzić się będą nad Wisłę, a kazamackie zwoje drutów „w spodloną pierś wroga wnikną kolcami".

„I staną wszyscy pomordowani,
Na wieczny apel wstaną wraz,
I męką śmierci skrzepnięci w granit
Wykują żywy testament nasz".

Te słowa przekazuje Autor pozostałym przy życiu Gusenowcom z nadzieją i życzeniem, że tak jak śmierć jednych była cementem serdecznej krwi na odbudowę Nowej Niepodległości, tak pozostali przy życiu będą tym cenniejsi, że zaświadczą i słowem i postawą swą o minionych czarnych dniach i staną się pomostem między pokoleniem ludzi podwójnie niewolnych, co swymi sercami na kolczastych drutach zgotowali narastającemu pokoleniu nadziejniejszą przyszłość.

Wiersze Gustawa Przeczka utrzymane są w całości w tonie raczej spokojnym: nie ma w nich gwałtownych wybuchów uczucia, goryczy lub przekleństw. Jest duchowa równowaga i jakiś biblijny spokój. W wielu wierszach daje się zauważyć brak skrystalizowanej myśli czemu się nie dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę warunki, w jakich wiersze te powstawały. A spokój duszy i cisza zewnętrzna też odegrywała ważną rolę. Są jeszcze i pomniejsze usterki, ale któż z początkujących ich nie ma? Książkę tę z tym gorętszym sercem przywitać należy, że jest to pierwsza w okresie powojennym książka polska na terenie czechosłowackim w granicznym regionie śląskim.

Jan Broda

F A K T Y i Z D A N I A

TAK SIĘ FABRYKUJE NIEMIECKICH „DEMOKRATÓW“

L. Marschak cytuje w „Głosie Robotniczym“ z dn. 18. II. br. następujące ogłoszenie. które jest rozpowszechniane przez prawników na terenie Bawarii:

„Czy chce pan być zdenazifikowany? Proszę się zwrócić do mnie z całkowitym zaufaniem. Nadzwyczajne wyniki. wiele listów dziękczynnych! Pańska pomoc ograniczy się tylko do następujących czynności: Wskazać osoby (2 wystarczą). które widziały pana w kościele w latach 1933 — 1945. wymienić 2 osoby. którym pan zwierzył się kiedyś. że wojna może być przegrana, streścić krótko powody. dotyczące pańskiego wstąpienia do partii. wspomnieć o konfliktach. Resztę załatwi nasze biuro“.

Jeszcze 930,000 „byłych“ hitlerowców czeka w Bawarii na załatwienie wniosków denazifikacyjnych. Czekają chyba bez zniecierpliwienia. Przychylne załatwienie sprawy zapewnione — wkrótce będzie nowych 930.000 „demokratów“. **z. s.**

WŁAŚCIWA ODPOWIEDŹ

Tzw. „Demokratyczny Związek Kobiet miasta Hannover“ zwrócił się do wszystkich kobiet chrześcijańskich świata z apelem, w którym prosi o rozpowszechnianie wiadomości o strasznym losie Niemców i o spowodowanie zmiany polityki państw okupujących.

Na apel ten, który ze wzruszającą naiwnością przedrukowywały pisma zagraniczne, odpowiada Kamila Chylińska w „Gazecie Polskiej“, piśmie polskiego wychodźctwa we Francji (nr 449 z dn. 13.II.47). Oto jej odpowiedź w wyjątkach:

...„Nie ma i nie może być więzi między nami a wami, narodem odpowiedzialnym za 500 obozów śmierci, za wymordowanie 25-ciu milionów ludzi bądź to w komorach gazowych, bądź też przez systematyczne ich wygładzanie!

...„Mówicie o wielkiej niemieckiej niedoli. My zaś myślimy o bezmiarze polskiego cierpienia A. cierpienie nasze nie mierzy się — jak wasze ilością brakujących kilogramów mięsa, masła czy cukru. lecz ilością straconych żyć ludzkich, ilością ruin i pogorzelisk.

Mimo to wszystko nienawiść nie jest naszą religią i nie pragniemy by stała się religią ni elementarzem naszych dzieci. Ale nie mamy najmniejszego powodu wierzyć Niemcom na słowo. Domagamy się, by odpowiedzialni za największą w dziejach ludzkości kolektywną zbrodnię — ponieśli karę, na jaką zasługują. Nie chcemy by jutro znów germańskie bezprawie zapanowało nad światem! Nie chcemy by znowu polały się łzy nasze, by znowu trysnęły strumienie naszej krwi! Nie chcemy, by sprawiedliwość wobec Niemców rozpłynęła się w litości i miłosierdziu! Gdyż miłosierdzie chrześcijańskie nie jest formułą, aprobującą ucieczkę od zasłużonej kary.

Nie pomoc w ucieczce od odpowiedzialności, ale pomoc w jej zdobyciu — taka powinna być rola kobiet niemieckich wobec ich mężów, synów i braci. Zrozumieć ogrom swej winy, rozprostować skrzywione, zdegenerowane koncepcje, uznać za zbrodnię bierność wobec zbrodni — oto droga narodu niemieckiego“.

Nad słowami tymi winni się zastanowić wszyscy ci, którym głośny i zgodny chór lamentów niemieckich zbyt łatwo otwiera upusty łez, portfel, a nawet... granice. **z. s.**

ANGIELSKI WĘGIEL

Jak donosi Polska Agencja Prasowa. Anglicy mają obecnie wiele trudności z opanowaniem sytuacji na rynku węglowym. Brak rąk roboczych uniemożliwia przywrócenie przedwojennego stanu wydobycia węgla. Rzecznik angielskiej Izby Handlowej otwarcie przyznaje: „Brytyjski eksport węgla właściwie skończył się na zawsze“. „Obecnie świat pragnie węgla. ale W. Brytania nie może brać udziału w jego dostawie. później zaś, gdy W. Brytania będzie w stanie to uczynić. świat nie skorzysta z tej oferty ze względu na konkurencję. jaką będzie stanowił węgiel polski“.

Jako dobrzy przyjaciele życzymy. żeby się te przewidywania spełniły w 100 proc. Z drugiej strony — to tylko od nas zależy. czy się tak stanie **i. ł.**

IDEA FRATERNIZACJI OWOCUJE

Władze brytyjskie zezwoliły licznym jeńcom niemieckim przebywającym w obozach na terenie Wielkiej Brytanii na spędzenie świąt Bożego Narodzenia w domach angielskich. Wyniki tej sielanki nie dały długo na siebie czekać. W Anglii zaobserwowano ostatnio wiele wypadków ucieczki jeńców niemieckich, znanych hitlerowców, przy czym wywiad Scotland Yard'u ustalił współudział organizacji rekrutującej się spośród ludności angielskiej w zorganizowaniu i przeprowadzeniu ucieczki na kontynent.

„Wiele kontaktów zostało nawiązanych podczas świąt Bożego Narodzenia, **gdy rząd brytyjski pozwolił jeńcom niemieckim na odwiedzanie domów angielskich.** Dochodzenie przeprowadzone u tych, którzy złożyli podanie o zezwolenie dla jeńców spędzenia świąt w ich domach, wykazało że w wielu wypadkach zaproszenie poprzedzone było badaniem, celem którego było zapewnienie, że kandydat do ucieczki jest rzeczywiście hitlerowcem“ — pisze „Gazeta Polska“ (nr. 449. dnia 13. II. 47r.).

Dziwiliśmy się, że władze angielskie okazały tyle „dobrego serca“ w zezwoleniu na przyjmowanie jeńców niemieckich w domach angielskich, tym bardziej, że skutki tego mogły być tylko żałosne.

Teraz jednak okazuje się, że istnieją utajone siły, które grają na uczuciach brytyjskich ministrów i... dziwimy się już mniej. z. s.

COŚ NA POCIECHĘ

Amerykanie przystąpili wreszcie do uporządkowania spraw Niemców przesiedlonych z terenów przyznanych Polsce. Oto suchy. ale pocieszający komunikat PAP:

„Amerykańskie władze okupacyjne zleciły Landratom przygotowanie ustawy o naturalizacji Niemców. którzy zostali przesiedleni do Niemiec. lub sami wrócili. Zarządzenie władz amerykańskich wydane Landratom wyraźnie wymienia Niemców przesiedlonych z ziem położonych na wschód od Odry i Nysy.

Należy zaznaczyć. iż dotąd naturalizacja Niemców wysiedlonych z Polski została przeprowadzona jedynie w radzieckiej strefie okupacyjnej“.

CYFRY TEŻ MÓWIĄ

„Dziennik Ludowy“ z dnia 17 lutego w artykule pt. „Przykre zestawienie“ zwraca uwagę na poważne niedociągnięcia w realizacji planu gospodarczego przez administrację majątków państw. na ziemiach odzyskanych. „Przykre zestawienie“ wygląda następująco: chłopi mieli obsiać 800 tysięcy ha ziemi, obsiali 960.354 ha czyli 120 proc. planu. Majątki państwowe miały wykonać siew na obszarze 400 tysięcy ha. a dokonały zasiewów 234,435 ha, co stanowi 58,6 proc. planowanego obszaru. Podobny stosunek zachodzi przy wykonaniu planu orki jesiennej.

Nie omylimy się bardzo — pisze „Dziennik Ludowy“. — jeśli wysuniemy twierdzenie. iż w majątkach państwowych niedopisuje, poza małymi wyjątkami. **administracja terenowa.** Bo czymże można wytłumaczyć fakt. iż mając do dyspozycji **o 1500 traktorów więcej niż chłopi.** osiągnięto tak mizerne wyniki. Być może maszyny te woziły szaber lub załatwiały jakieś inne sprawy z kategorii t.zw. „służbowych“. W każdym bądź razie wytłumaczenia tu nie widzimy. bo chociaż. co prawda, traktory „kulały“. ale u chłopa też nie chodziły galopem. Pocieszanie się. że niedociągnięcia majątków państwowych zostały wyrównane na odcinku gospodarstw chłopskich. na skutek czego odcinek 3-letniego Planu Narodowego. przypadający na zasiewy jesienne 1947 r., został wykonany praktycznie w 100 proc. — nie rozwiązuje zagadnienia.

Fakt pozostaje faktem. Majątki państwowe nie wywiązują się ze swych obowiązków.

W planowaniu wiosennej akcji siewnej trzeba to wziąć specjalnie pod uwagę. a kontrola społeczna względem folwarków powinna być naprawdę czujna i bezkompromisowa.

Ludowemu Ministrowi Rolnictwa — **ku uwadze!“** **p.**

KTO ICH UPOWAŻNIŁ?

Pod takim tytułem i ze świętym oburzeniem „Polska Ludowa“ z dnia 16 lutego br. zamieszcza notatkę, dotyczącą posłów katolickich w nowym sejmie. Oto co pisze Organ PSL:

„Jest ich aż trzech posłów w owym „Katolicko - Społecznym Klubie Poselskim“. Niech sobie będą: Katolikom to nie zaszkodzi.

Z tej „trójki katolickiej“ przemawiał poseł Frankowski i stwierdził:

„Katolicy gotowi są współpracować ze wszystkimi ugrupowaniami politycznymi pod warunkiem jednakowego startu i tych samych możliwości wpływania na charakter i przebieg dokonywanych reform“.

W którym kościele dzwonią?

Inne Kluby chcą tego samego. Nie o to nam, zresztą. chodzi.

Chcielibyśmy wiedzieć kto tych trzech posłów upoważnił do występowania w imieniu wszystkich katolików? Katolicy? To tak brzmi, jak gdyby cała katolicka Polska. Poprawniej byłoby i tak całkiem uczciwie. gdyby poseł Frankowski powiedział: „Nasi wyborcy są gotowi itd.“

Z kolei trzebaby się zapytać: A w czyim znowu imieniu występują panowie z „Polski Ludowej“? W imieniu tej „reszty katolickiej Polski“? A może katolickich chłopów? Panowie. jakże niezręcznie pytacie. Bo przecież... „chcielibyśmy wiedzieć, kto tych 27 posłów PSL upoważnił do występowania w imieniu wszystkich chłopów? Poprawniej byłoby... itd.“ **i. ł.**

Nowe zagadnienia teatralne

Pożyteczne „Listy z teatru“, wzorowo redagowane przez Wojciecha Natansona, nabierają wyraźnego oblicza „postulatowego“, jeśli idzie o politykę teatralną. Nie znaczy to, by pismo zamieszczało programowe rozprawy, jakieś zasadnicze ideologiczne rozważania; pismo pozostaje przy swoim skromnym, raczej informacyjno - rzeczowym tonie, — jednakże przez dobór, ustawienie i oświetlenie tematów wysuwa na plan pierwszy nowoczesny teatr „poetycki“ (reprezentantami tej twórczości będą — Świrszczyńska, Gaycy, Flukowski, Swinarski, Morstin), w zakresie zaś zagadnień formy inscenizacyjnej dyskutuje stosunek słowa literackiego do teatru, zajmując stanowisko umiarkowanie pośrednie, to jest nie pochwalając przysłowiowej „samowoli reżyserów“ - formistów teatralnych, ale też biorąc pod uwagę jednostronność spojrzenia literata, dla którego na scenie słyszalne jest tylko słowo. Ten program nigdzie nie jest wypowiedziany „expressis verbis“, tj. dosłownie, jak tu skrótowo próbujemy go streścić; „Listy z teatru“ cechuje bowiem powściągliwość w wypowiedziach, i raczej panuje na łamach ton stwierdzania, niż polemizowania, — również pismo nie przemilcza zjawisk teatralnych innego typu i bynajmniej ich negatywnie nie określa; jednakże ostatnie dwa numery (8-my i 9-ty), przez dobór i ujęcie prac, pozwalają nam w ten właśnie sposób odczytać nastawienie pisma.

Są to numery bodajże najciekawsze z dotychczas wydanych; przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na celowość konstrukcji, wyróżniającą „Listy z teatru“ od niechlujnie i bezplanowo redagowanego „Teatru“. Każdy numer składa się z kilku części, spełniających określone zadanie. Obok artykułów na tematy ogólne, omawiających nowe premiery krakowskie(a trzeba podkreślić, że prace te, pisane przez znanych literatów, nie przekraczają — i to wtedy, gdy są największe — 2 stron druku broszurowego formatu, i na tak małej przestrzeni kondensują temat najbardziej rzeczowo), znajdujemy z reguły wyjątek ze współczesnego utworu dramatycznego, dotychczas niedrukowanego (w Nr. 8 fragment „Diabelskiej wyspy“, dramatu czeskiej autorki Olgi Scheinpflugovej, żony znakomitego pisarza Karola Capka, w Nr. 9 „Soczewica“ Stefana Flukowskiego, dramat poświęcony problemom polsko - niemieckim w czasach Łokietka; sztukę tę tak określa J. A. Szczepański: „w swoim zakresie i jakości jest „Soczewica“ szczególnie cennym nabytkiem tzw. repertuaru ludowego“), dalej omówienie premier zamiejscowych (na Śląsku), ankieta „Jak mówić wiersz“, wreszcie „Kronika zagraniczna“, podająca informacje o europejskich, sowieckich i amerykańskich zdarzeniach teatralnych. Fotografie, dobrane z punktu widzenia potrzeb charakterystyki teatralnej, a nie by reklamować „gwiazdy“, pozwalają się zorientować w stanie naszej plastyki scenicznej i techniki inscenizacyjnej.

Najciekawsze w n-rze 8-ym będą dla działacza teatru ludowego dwa artykuły: Aliny Świderskiej „O gest kontuszowy“ i ankieta „Jak mówić wiersze“. „Z przykrością patrzę — pisze Świderska, — jak nasi aktorzy są po prostu **przebrani** w kontusz, ale ani się w nim ruszać nie umieją, ani go nie czują“. „W tym stroju, tak na wskroś malarskim, i w sposobie noszenia go, odzwierciedla się jednocześnie i owa demokratyczna buta („szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“), i fantazja jaśniepańska, której gest umiał podpatrzeć i przyswoić go sobie nawet szlachetka na paru włókach ziemi“. „Dla takiego jegomościa zasunięcie rąk za pas kontusza było gestem równie naturalnym, jak dziś wsunięcie rąk w kieszenie — poprawienie wylotów łącznie z podkręcaniem wąsa, lub sięgnięcie do szabli, dopełnieniem słowa“. Uwagi Świderskiej, bardzo konkretne mają duże znaczenie dla reżysera teatralnego. Dziś szczególnie, gdy nierzadko Fredro wchodzi na scenki naszych teatrów ludowych, gdy czując się dziedzicami kultury szlacheckiej potrafimy ją wykorzystać bez neinawiści, i postaci te nowym naszym widzom na płaszczyźnie historycznej tłumaczyć, informacje takie są dla nas ważne, tym bardziej, **że aktorzy ludowi chętnie owe role grają, i wykonują je z właściwym zacięciem.**

Ważna dla działaczy ludowych będzie również ankieta „Jak mówić wiersze“; w Nr. 8 odpowiadają aktorzy J. Kreczmar i J. Ciecierski. Szczególnie ta uwaga Kreczmara wydaje się godną polecenia, zważywszy, że popadanie w łatwą ekspresję i przesadę, nieskrępowana analiza budowy wiersza, jest częstym błędem naszych recytatorów: „Forma wiersza wykłada jego treści myślowe i uczuciowe, a często nawet określa rodzaj i natężenie ekspresji. Dlatego straszliwym błędem recytatorów jest lekceważenie formalnej strony wiersza, a nierzadko gwałcenie jej w sposób zgoła niefrasobliwy. Jakże często recytator nie zwraca najmniejszej uwagi na budowę utworu, którego nie rozumie; mówi go w anonimowym wzruszeniu na wszelki wypadek, podczas gdy autor dał mu w rękę klucz do zrozumienia wiersza w jego układzie formalnym“.

W n-rze 8 zwraca jeszcze uwagę artykuł Antoniego Gołubiewa: „Istotny sens „Rozdroża miłości“. Idzie tu o nowy dramat J. Zawieyskiego; Gołubiew udowadnia, że „sposób patrzenia artysty na świat jest wynikiem jego podstawowego światopoglądu“, i wykazuje następnie, że sztuka Zawieyskiego mieści się ściśle w światopoglądzie katolickim. Praca ta nas poucza, że niema sztuki „obojętnej ideologicznie“, i że nawet jeśli poglądy autora nie są wypowiedziane jasno, to jednak jego dzieło mieści się zawsze w światopoglądzie, który możemy odcyfrować, zapomocą analizy krytycznej. Gdy dzisiaj organizator teatru ludowego bierze się do montowania repertuaru, nie powinien o tym zapominać i ściśle badać wydźwięk utworu, by go umieć wykorzystać w sposób pedagogiczny.

W n-rze 8 znajduje się również interesujący wywiad W. N. z Aleksandrem Zelwerowiczem. Zelwerowicz wspomina premierę „Wesela“ w Krakowie w r. 1901, grał wtedy Kaspra. Wywiad ten jest ciekawym przyczynkiem do dziejów dramatu Wyspiańskiego.

Mniej interesującego dla teatru ludowego materiału zawiera nr. 9, ale i tu znajdujemy omówienie „Wielkiego człowieka do małych interesów“ Fredry, które nas powinno zająć. Sztuka ta, pisana w ostatnim okresie twórczym, różni się od głównych komedii fredrowskich, gdyż opisuje środowisko nowe, pół-szlacheckie, pół-mieszczańskie, i stosuje inne środki wyrazu, zbliżone do nowoczesnego realizmu, w przeciwieństwie do wielkich jego komedii, związanych ze stylem romantycznym. Dlatego dzisiaj, gdy radzibyśmy wprowadzić realizm na scenę, warto pomyśleć nad tą komedią, która niejednego nas nauczy, np. sposobu wplecenia satyry w obraz środowiska. Bo postać Jenialkiewicza, „wielkiego człowieka do małych interesów“, może być ujęta jako satyryczna; typowy to przedstawiciel drobnej „polskiej megalomanii“, zresztą ukazany niezłośliwie, z „wdziękiem“ artykuł Wiesława Goreckiego).

Ciekawa dla oświetlenia nieporozumień między literatami a teatrem, odbijających się fatalnie na teatrze, bo istniejąca i działająca krytyka literacka nie dostrzega specyficznych cech nowoczesnej sztuki teatralnej, jest wypowiedź St. Kisielewskiego: „Do teatru chodzę rzadko i niewątpliwie nie należę do teatromanów; po prostu dreszcz ten jest mi obcy — na przedstawienie patrzę zawsze jako na mówiony utwór literacki, a że utwór wolniej się mówi niż czyta — podążam myślą szybciej niż słowa aktorów i drażni mnie żółwie tempo i mała intensywność akcji scenicznej“. „Asystując przy przedstawieniu teatralnym, zawsze skłonny jestem sprowadzać je do tej dziedziny sztuki, której jest ono najbliższe: gdy widzę „Hamleta“ wyobrażam sobie zadrukowane strony książki i żal mi myśli, które przemijają raz wypowiedziane jako „kwestia“, podczas gdy w lekturze z taką przyjemnością i korzyścią wrócilibyśmy do nich kilkakrotnie“. To ciasne nastawienie literatów, niczego nie **widzących** na scenie, sprawia, że dotychczas nie posiadamy krytyki teatralnej, zdolnej objaśnić szerokim rzeszom widzów zadania teatru i **umiejętnie** jego losami pokierować.

Zygmunt Kałużyński.

LIST DO REDAKCJI

Pod nieobecność moją w Łodzi zdarzył się zabawny przypadek. Wiersz debiutanta, p. Bolesława Michała Soczyńskiego, zakwalifikowany przeze mnie do druku, ukazał się w ostatnim numerze „Wsi“ jako mój utwór. Nazwisko moje widnieje nad wierszem ani nie przeinaczone, ani nie zamazane, ale wyraźne jak byk. Kogo winić? Korektora, członków Redakcji, którzy byli na miejscu? Nie wiem. W każdym razie prostuję nieprzyjemną bądź co bądź dla mnie omyłkę.

Stanisław Piętak.

SPROSTOWANIE

W numerze 8 (87) „Wsi“ z dnia 23 lutego 1947 roku wiersz pt. „Kasztanki“ napisany przez Bolesława Michała Soczyńskiego został omyłkowo podpisany nazwiskiem Stanisława Piętaka. Przepraszając autora za tę omyłkę dajemy jeszcze raz pełny tekst wiersza już z jego właściwym nazwiskiem·

Bolesław Michał Soczyński

KASZTANKI

W jakąż gościnę jedziemy? Kurz się wyzwala spod kopyt
i kłębami się toczy po drodze pod same wieśniacze płoty.
Wiatr rozdąsany jak batem smaga rozdęte nozdrza — —
Kto szybciej gna? — Jak w takiej gonitwie rozpoznać?
Widzi się tylko grzywy rozwiane na prężnych karkach;
ani się śni przystanąć, odetchnąć, lub parskać.
Niczym wyboje — pochyłość tyle, co sama krętość — —
co raz to dalej, dalej niesie się ostry tętent.
O, tak! Nie spocząć wcześniej, aż się powietrza nachłeptać,
aż sierść od potu stanie się mokra i lepka.
Życie rozpiera boki ocalałym z pożogi kasztankom:
polom w gościnę mnie wiozą po uścisk letniego ranka.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Komitet redakcyjny: **Zygmunt Kałużyński, Stefan Lichański, Stanisław Piętak, Leonard Sobierajski.**
Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000. 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś“, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik“ — Łódź ul. Żwirki 2. D—011470